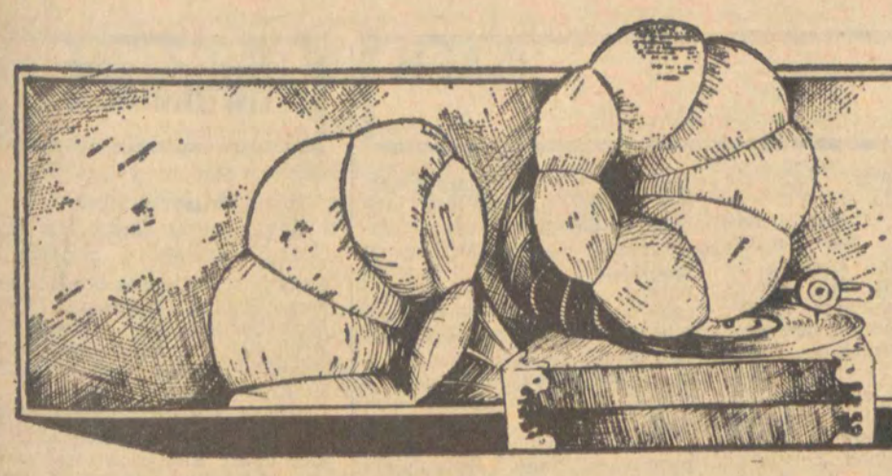

DWÓCH, KTÓRZY WYNALEŹLI FONOGRAF

MILIONER W LAS VEGAS

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 31 (1025)
31 LIPCA 1977 R.
CENA 3 ZŁ

ŻYCIORYSY

NIKIFOR

Władysław Orłowski

1.

Ulicę Cmentarną w Krynicy określiłbym raczej jako ścieżkę pnącą się stromo na stok pagóra, na którym rozłożył się niewielki ale starannie zadbany cmentarz. Wśród licznych zasobnych grobowców uwagę moją przykuła duża płyta granitowa, na której wyryto dwa słowa: „NIKIFOR KRYNICKI". Nic więcej.

Ale bo też, czy potrzeba było dodawać coś jeszcze? **Nikifor**, wyjątkowe zjawisko artystyczne, antropologiczne, socjologiczne, charakterologiczne, ma już w pamięci ludzkiej swoje trwałe miejsce, urósł do wymiaru legendarnego, a jego akwarelki czasem dopełniane olejem i rysunki w ołówku podkolorowane kredkami nabierają z upływem lat coraz większej wartości i to zarówno u kolekcjonerów krajowych, jak i zagranicznych.

Pomnik na cmentarzu krynickim jest dziełem wybitnego rzeźbiarza krakowskiego **Bronisława Chromego.** Na płycie nagrobkowej umieścił artysta ujęte skrótowo postacie kobiece, stylizowane na ludowe Madonny bolejące. Wydobyte z dna strumieni górskich otoczaki, ukształtowane i wygładzone w wyniku długotrwałego procesu przez bystry nurt, nie poddane zostały żadnej dalszej obróbce przez rzeźbiarza. Bronisław Chromy włączył je po prostu w pomnik nagrobny, inkrustował go nimi. Spełniają tam funkcję aluzyjną, kojarząc się z wydłużonym kształtem twarzy ludzkich.

Dopatrzyłem się czegoś symbolicznego w tych wyszlifowanych kamieniach strzegących miejsca wiecznego spoczynku utrudzonego wędrowca. Osobowość twórcza **Nikifora** została, jak te głazy, uformowana przez naturę. Nikt go nie uczył rysunku ani dobierania barw, nikt nie pokierował jego spojrzeniem na świat ani interpretacją tego świata. W obrazach Nikifora przemówiło to, co w nim było naturalne i spontaniczne.

2.

Nikt nie wie dokładnie kiedy się urodził. W dowodzie osobistym wpisany miał **rok 1894,** ale dowód ten sporządzono już pod koniec życia artysty, opierając się nie na dokumentach, lecz na przypuszczeniach. Wtedy także nadano mu nazwisko **„Krynicki"** po stwierdzeniu, że dla określenia swej tożsamości posiada tylko znane przez wszystkich chrzestne imię **Nikifor.**

Tego imienia nie ma bodaj w kalendarzu katolickim, ale wywodził się z podkrynickich Łemków i był zapewne prawosławny. Matka, półżebraczka, kobieta ułomna, niema i prawie głucha, usługiwała w sezonie — przed i po I wojnie światowej — w krynickich willach i pensjonatach, nie rozstając się z synem. Ponieważ i on był niemową, porozumiewali się między sobą dla siebie tylko dostępnym bełkotem. Ojciec Nikifora był nieznany. O matce także niewiele wiadomo.

Kilkanaście lat temu znakomita aktorka **Janina Romanówna** przysłała opiekunowi prawnemu Nikifora list z załączoną wyblakłą fotografią amatorską wykonaną przed wojną na krynickim deptaku. Na pierwszym planie eleganckie panie, wśród nich Romanówna, a w tle skulona postać starej kobiety.

„Wydaje mi się — pisała artystka — **że to właśnie matka Nikifora".**

Opiekun, **Marian Włosiński,** absolwent sławnej krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, dokonał powiększenia fotki do rozmiarów, jakie tylko dało się uzyskać nie gubiąc czytelności obrazu, po czym pokazał je Nikiforowi. Starzec przyglądał się długo, uważnie, wreszcie przytaknął. To była jego matka. Wzruszył się przy tym bardzo.

Od czasu gdy matka zmarła, gdzieś od lat trzydziestych pędził

Dalszy ciąg na str. 6

PIŁKA NOŻNA

FAWORYT I CZARNY KOŃ

Andrzej Makowiecki 8

MILITARIA

LUCJAN BOGUSZ

CZYSTA ŚMIERĆ W PROMIENIACH

Niedawno Senat USA zatwierdził fundusze na dalsze prace i na produkcję bomby neutronowej. Jimmy Carter – prezydent USA – przyznał, że **„decyzja przekroczenia nowego progu nuklearnego była najtrudniejszą decyzją, jaką musiał podjąć... Decyzji tej nie ułatwił fakt, że zwiększa ona czynnik odstraszenia".** Ale też – jak utrzymują przeciwnicy nowej bomby – zwiększa ona groźbę wojny atomowej i przyczynia się do dalszego wyścigu zbrojeń, choć w Wiedniu nieustannie dyskutuje się i radzi nad rozbrojeniem. Amerykańscy politycy nie ukrywają, że rozpoczęcie produkcji bomby neutronowej będzie miało negatywny wpływ na rokowania rozbrojeniowe, ale – ich zdaniem – wpływ ten **„nie będzie miał istotnego znaczenia".**

Bomba neutronowa jest wszakże tylko jednym z elementów nowoczesnej machiny wojennej, która to machina nie jest żadną opowieścią z gatunku science fiction, żadną współczesną baśnią dla dorosłych, tylko realną rzeczywistością, która może w każdej chwili zamienić ten najwspanialszy ze światów w wielki teatr wojenny, w którym po rozegraniu ostatniego ze spektakli, wprawdzie z wielkimi fajerwerkami i licznymi atrakcjami — nic nie zostanie ciekawego, a już na pewno nie będzie tych, którzy mogliby tym się interesować.

Na początku lipca **„US News and World Report"** zamieścił interesujące opracowanie, które powstało w wyniku relacji uczonych, a które dotyczy wizji wojny, jaka mogłaby się rozegrać na naszej planecie w latach dziewięćdziesiątych naszego stulecia.

Wojna robotów

Wojną robotów straszyli pisarze science fiction już od dawna, ale były to niewinne bajeczki wobec tej wojny robotów, którą zgotowała nam współczesna technika. W tej przyszłej wojnie — oby nigdy nie wybuchła — ludzie zasiądą przy aparaturze sterującej. Ale to nie jest żadne pocieszenie.

Przede wszystkim — jak twierdzą amerykańscy uczeni — skończyła się epoka kolosów. Nie wielkie samoloty będą odgrywały decydującą rolę w przyszłej wojnie, a małe samoloty bez pilota. Nie wielkie czołgi, a małe, dwuosobowe. Nie wielkie okręty, a małe bardziej przypominające dzisiejsze wodoloty, w które znacznie trudniej będzie trafić. Z kolosów współczesnych pozostaną tylko wielkie łodzie podwodne napędzane atomem, które łatwo mogą chować się w wielkich głębinach oceanów. Ale i we flocie podwodnej „miniaturyzacja" będzie miała wielkie znaczenie, gdyż do walki używać będzie się małych, bezzałogowych łodzi podwodnych. Te małe łodzie podwodne będą poruszały się również... w powietrzu. Otóż będą one tak skonstruowane, że część drogi dzielącej je od celu będą pokonywały w powietrzu, lecąc niczym pocisk balistyczny.

Zniknie — twierdzą amerykańscy uczeni — potrzeba posiadania wielkich bombowców strategicznych, gdyż zastąpią je pociski balistyczne, które z odległości 5 tysięcy mil (przeszło 8 tys. km) trafią w cel z dokładnością 5 stóp (półtora metra). Taka precyzyjność trafienia odsuwa potrzebę wyposażania głowic tych pocisków w ładunki nuklearne i pozwala wyposażyć je w ładunki konwencjonalne. Ładunki nuklearne są wtedy tylko skuteczne, kiedy nie ma dokładności trafienia, a trzeba cel zniszczyć możliwie dokładnie. Wtedy — przy wielkim rozrzucie — ładunek nuklearny pozwala na zniszczenie celu poprzez zniszczenie wielkiej przestrzeni. Ale teren skażony promieniowaniem jest właściwie wyłączony spod działania dla obu walczących stron. Natomiast trafienie pociskiem z ładunkiem konwencjonalnym dokładnie w cel, pozwala go zniszczyć, nie wyłączając jednocześnie atakowanego terenu spod dalszego wykorzystywania go podczas działań wojennych. Po prostu zwycięzca może spokojnie zająć ten teren bez obawy, że narazi swoje wojska na działanie promieni powstałych po wybuchu ładunku nuklearnego.

Amerykanie mają na początku lat osiemdziesiątych naszego stulecia uruchomić satelitarny system nawigacyjny **„NAVSTAR"**, który będzie mógł być wykorzystywany do prowadzenia działań wojennych. System ten każdej jednostce, każdemu oddziałowi wojska dokładnie określi jego miejsce pobytu. Będzie on także przekazywał dane o ruchach wojsk przeciwnika. Ale nie jest to takie znów bardzo bezpieczne, gdyż system taki można zniszczyć z ziemi przy pomocy laserów, a także można już w przestrzeni kosmicznej doganiać i niszczyć satelity. Wprawdzie układ zawarty w 1972 roku między ZSRR a USA zabrania wykorzystywania przestrzeni kosmicznej dla celów militarnych, ale wojskowi coraz głośniej mówią o tym, że opanowanie przestrzeni kosmicznej przez wojskowe satelity, ulokowanie tam systemów sygnalizujących ruch rakiet, stanowi istotny czynnik przewagi w razie jakiegokolwiek konfliktu zbrojnego na ziemi.

Nie przypadkiem więc uczeni pracują nad takimi rozwiązaniami technicznymi, które można byłoby wykorzystać w satelitarnych systemach obronnych. Istnieje już laser chemiczny, który nie wymaga tak wielkiej energii elektrycznej dla wysłania laserowego promieniowania, a który może być łatwo przetransportowany w Kosmos. Skonstruowano już „krzemowe oko", które pozwala z przestrzeni kosmicznej z uwagą śledzić to wszystko, co dzieje się na planecie, analizować zebrane informacje i wykorzystywać je do wojennych działań. Skonstruowano też „gumowe lustro", które zmieniając powierzchnię, pozwala kierować promień lasera na dowolny cel. Oczywiście, są to nie wszystkie wynalazki, a i o tych, z których nie robi się już tajemnicy, też wszystko jeszcze nie jest wiadome.

Zmniejszenie sprzętu wojennego i podporządkowanie go centralnym dyspozytorniom, pozwala dokładniej patrolować teren, uniemożliwiając działania przeciwnikowi. I tak na przykład — jak twierdzą amerykańscy uczeni — w latach dziewięćdziesiątych naszego stulecia gotowe będą niewielkie samoloty bez pilota, do których pamięci można będzie wprowadzić obraz patrolowanego terenu oraz dźwięki i obraz czołgu. Samoloty te będą dokładnie przeszukiwały wyznaczony im teren, nie będą interesowały się ani ludźmi, ani domami, ani pociągami, ani samochodami, a będą tylko wypatrywały i niszczyły czołgi. Zresztą można je nastawić również na niszczenie innych urządzeń przeciwnika. Wizja tych samolotów przypomina trochę „ptaki-czujniki" z opowiadania Roberta Sheckly'a pod takim samym tytułem. Tylko, że w tym opowiadaniu, „ptaki-czujniki" miały zapobiegać wszelkiej zbrodni.

Nie ma gdzie się schować

Specjaliści twierdzą, że jeszcze tylko wielkie atomowe łodzie podwodne są bezpieczne, gdyż mogą głęboko ukryć się pod wodą, skąd też mogą razić cele rakietami. Ale inni specjaliści pracują już nad tym, aby i tam, w głębinach oceanów przeciwnik nie miał schronienia. Prace te są pilnie strzeżone i utrzymywane w głębokiej tajemnicy. Jednakże — jak utrzymują amerykańscy naukowcy — z danych ujawnionych przez Defense Advanced Research Projects Agency wynika, że istnieje możliwość „przesłuchania" pewnych rejonów mórz i oceanów. W tym celu specjalne statki holują coś w rodzaju trału, składającego się z czułych instrumentów pomiarowych. Instrumenty te rejestrują wszelkie dźwięki rozchodzące się w wodzie. A okazuje się, że w morzu wcale nie jest tak cicho. Rejestrują więc one szum fal, szum poruszanego wodą piasku, dźwięki wydawane przez ryby, hałas, jaki czynią inne statki pływające po powierzchni morza, a także niezmiernie cichy szum wydawany przez silniki atomowych okrętów podwodnych, gdyż okręty te specjalnie tak się buduje, aby robiły jak najmniej hałasu. Całe to „nagranie" zostaje przetworzone na impulsy elektryczne i przekazane za pośrednictwem satelity do Moffet Field, położonego koło San Francisco, gdzie w Ośrodku Badań Akustycznych, za pośrednictwem 20 komputerów rozlokowanych w różnych rejonach USA, ale wzajemnie ze sobą połączonych, dokonuje się takiej analizy, w wyniku której wyodrębniony zostaje szum atomowy okrętów wojennych. W analizie tej brał też udział największy komputer świata — Iliac IV.

Również bomba neutronowa — zwana dokładnie **„W 70 Mod Lance Enhanced Radiation Warhead"** — czyli **„Głowica o podwyższonym promieniowaniu W 70 model 3 dla pocisków Lance"** praktycznie czyni wszelkie schronienia nieskutecznymi, jako że promieniowanie neutronowe jest bardzo przenikliwe oraz biologicznie najgroźniejsze. Zwolennicy tej bomby uważają, że jej zaletą jest to, iż mając ograniczony zasięg promieniowania cieplnego i świetlnego, niszczy życie biologiczne emisją szybkich neutronów, a to promieniowanie jest krótkotrwałe. Tak więc teren rażony głowicami neutronowymi, a nawet ostrzeliwany przez artylerię polową pociskami z głowicami neutronowymi, nie niszczy zabudowań, bunkrów, sprzętu wojskowego, urządzeń komunikacyjnych, dróg i mostów, zabija natomiast ludzi i zwierzęta. Po kilkunastu minutach takiego rażenia, wojska ostrzeliwujące dany teren pociskami neutronowymi mogą spokojnie wejść na wymarłą wprawdzie, ale już nie niebezpieczną pustynię. Takich „efektów" nie daje żadna bomba nuklearna z dotychczas znanych.

Nie ma czystej śmierci

Przeciwnicy bomby neutronowej zwracają wszakże uwagę na fakt, że przy stosowaniu wszelkiej broni nuklearnej nie ma czystej śmierci. Amerykański tygodnik **„Newsweek"** przytoczył opinię byłego wicedyrektora CIA do spraw badań naukowych — **Herberta Scoville**, który twierdzi, że jest niewątpliwie prawdą, iż emisja szybkich neutronów w ciągu kilku minut zabija ludzi, powoduje bowiem paraliż systemu nerwowego i zgon, ale z tego wcale nie wynika, że wszyscy ludzie w jednakowym stopniu będą porażeni promieniowaniem neutronowym, a więc część z nich będzie jeszcze żyła długie miesiące, trawiona chorobą popromienną. Inny przeciwnik tej bomby — senator **Mark Hatfield**, zwraca uwagę na fakt, że po wybuchu bomby neutronowej tworzy się radioaktywna chmura złożona między innymi z izotopów węgla, która może spowodować śmierć tysięcy ludzi przez czas, w którym będzie się dostawała w górne rejony atmosfery, gdzie może przebywać całymi wiekami.

Sekretarz generalny SPD — **Egon Bahr** w artykule na łamach tygodnika swojej partii **„Vorwarts"** zwrócił uwagę, że wynalazek amerykański stawia przed ludźmi w ogóle pytanie o sens istnienia oraz, że jest **„symbolem perwersyjnego myślenia".** Zdaniem polityka zachodnioniemieckiego postęp ma się wyrażać tym, że **„łatwiej będzie usuwać zwłoki ludzkie, niż zburzone miasta i fabryki".** Stanowisko Egona Bahra skrytykowała zachodnioniemiecka gazeta **„Die Welt"**, zarzucając mu, że argumentom militarnym przeciwstawia argumenty moralne oraz przypominając, że wszelka broń służy zabijaniu ludzi. Niektórzy komentatorzy słusznie zauważają, że przeciwnicy bomby neutronowej są w zasadzie przeciwnikami wszelkiej broni nuklearnej.

Zwolennicy natomiast tej broni z uporem godnym lepszej sprawy podkreślają, że decyzje jej użycia są decyzjami politycznymi i może je podjąć tylko prezydent. Przeciwnicy nie są o tym przekonani, uważają oni — nie bez słuszności, — że pociski artyleryjskie z głowicami neutronowymi łatwo można potraktować jako broń taktyczną i decyzja o jej użyciu może zostać podjęta na którymś z niskich stopni dowodzenia, a skutki jej mogłyby mieć już skalę światową. Amerykanie są też przekonani, że problem głowic neutronowych nie podlega rokowaniom wiedeńskim, ale rzecznik państw Układu Warszawskiego w Wiedniu wyraźnie stwierdził, że problem ten **„stoi w sprzeczności z rokowaniami wiedeńskimi".** Nim jeszcze zaczęto produkować bombę neutronową już zatem wpłynęła ona negatywnie na rokowania prowadzone w Wiedniu.

Dla ludzi, którzy z troską patrzą w przyszłość naszej planety, jedno wydaje się jasne i oczywiste. **Zagwarantowanie pokoju, współistnienie, zależeć będzie nie od dalszego wyścigu zbrojeń, ale od postępu w rozbrojeniu.** Komentatorzy zwracają uwagę, że dzisiejsza praktyka w tej dziedzinie coraz wyraźniej odchodzi od porozumień zawartych we Władywostoku.

KOŁOBRZEG 77

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

PIOSENKI były ŻOŁNIERSKIE...

Wielokrotnie pisałem, że Festiwal Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu uważam — już jako stary festiwalowy wyga — za najsympatyczniejszy. W Opolu czy Sopocie również jest przyjemnie, ale Kołobrzeg ma w sobie owo nieuchwytne coś, co sprawia, że na wszystko nas otaczające w amfiteatrze i poza nim spoglądamy przez pryzmat własnego dobrego samopoczucia.

W tym roku na festiwal kołobrzeski uwzięła się wyraźnie pogoda. Wprawdzie nie padało, lecz kapryśna — jak na nadmorski ośrodek wypoczynkowy w tej porze roku — aura dawała się wszystkim wyraźnie we znaki, nie pozwalając zbyt często pobiec wprost z amfiteatru na odległą o dwieście metrów plażę. Również na pogodę zwalić można winę (nie podważając wyrażonej na wstępie generalnej opinii) za towarzyszące organizatorom i wykonawcom podenerwowanie czy rozdrażnienie, które przecież parokrotnie objawiało się publicznie na koncertach. Obarczam winą pogodę, bo jakże inaczej, skoro podczas nocnej próby (na dwadzieścia godzin przed premierą) eposu żołnierskiego Marka Sarta i Jana Gałkowskiego zatytułowanego „Oto oni", nagły — krótkotrwały, a ulewny deszcz — zamoczył nieosłonięta konsolete i trzeba było przerwać „manewry" prowadzone przez Jerzego Woźniaka. Ale być może była to tylko zemsta natury za złe teksty, jakich w eposie pare naliczyłem? Nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że jednym z najlepiej prezentujących się wykonawców tego widowiska był **Bogusz Mec**, przekornie — tak samo, jak na Piotrkowskiej — przystrojony w czarny kapelusz.

Jeśli już mowa o łodzianach na tegorocznym Fesiwaltu Piosenki Żołnierskiej, to w pierwszym rzędzie wymienić trzeba zasłużoną dla FPŻ łódzką Orkiestrę Polskiego Radia i Telewizji kierowaną niezmiennie i z doskonałym skutkiem przez dyrektora **Henryka Debicha**, któremu tym razem — z woli scenografa — przypadło miejsce na mostku kapitańskim, jako że scenografia uczyniła z amfiteatru okręt z dwoma masztami i dwoma pokładami, przy czym na wyższym umieszczono orkiestrę, a niższy oddano solistom i zespołom. Dwa z nich wywodzą się z Łodzi: uhonorowany powtórnie „Srebrnym Pierścieniem" — **„Happy End"** i systematycznie „wycinany" z ampeksowych transmisji telewizyjnych **„Bene Nati"**. Do Łodzi przyjedzie także „Srebrny Pierścień" w kategorii piosenek estradowych; oczywiście, pod warunkiem, że **Krzysztof Cwynar** nie zawiezie tej nagrody do swego warszawskiego mieszkania.

Pisze o udziale łodzian na XI FPŻ, lecz obraz z pewnością byłby nieełny, gdybym nie wymienił jeszcze jednego nazwiska — **Jacek Malinowski**. Pianista orkiestry H. Debicha dokonał nie lada sztuki, zdobywając po raz trzeci z rzędu specjalne wyróżnienie jury za najlepszą aranżację konkursowego utworu (nagrodzona piosenka w wykonaniu **Ireny Woźniackiej** pt. „Naucz mnie, żołnierzu" uzyskała też „Złoty Pierścień"). Jeżeli dodamy, że jako aranżer Jacek Malinowski brał w tym roku udział w festiwalu kołobrzeskim po raz trzeci, to nic już nie ma do dodania.

Każdego wieczoru w kołobrzeskim amfiteatrze podczas trwania festiwalowych zmagań dwie były rzeczy diametralnie różne w ocenie widzów. Pierwsza wywoływała zachwyt, druga zaś — niesmak. Pierwsza był fakt dostarczania w czasie koncertów wojskowej grochówki, która przywożono samochodem i rozdawano nalewając prosto z żołnierskiego kotła. Co do drugiej, to pozostawał nią przez wszystkie dni poziom festiwalowej konferansjerki. Z trójki prowadzących nieźle zaprezentowała się wyłącznie **Maria Wróblewska**, podczas gdy dwaj panowie — **Janusz Borowicz** i **Stanisław Mikulski** — serwowali widowni wszystkie estradowe wady. Nic tedy dziwnego, że kiedy nadarzył się „Strzelec podhalański" widzowie — słuchacze woleli słuchać i oglądać **Daniela** w czapce z orlim piórkiem niż smutnych konferansjerów.

W ubiegłym roku, zamykając festiwal obiecywano za rok zdecydowaną poprawę w zakwaterowaniu i wyżywieniu festiwalowych gości. Niestety, okazało się, iż pod tym względem **„Kołobrzeg 77"** był jeszcze gorszy. Na pewno wielu osobom częściowo zrekompensowały te niedostatki wyprawy do Budzistowa (ognisko z pieczeniem kiełbasek, znakomicie wędzone ryby, możliwość dosiadania konia, przejażdżki powozem lub motorówką) i na statek spacerowy „Dorota" (w czasie sztormu, więc w porcie), ale chyba nikt całkiem nie uwierzył zapewnieniom, że za rok...

Jedno natomiast musi w ciągu tego roku ulec zmianie. Mam na myśli to, że Biuro Prasowe XI FPŻ nie zapewniło akredytowanym dziennikarzom dalekopisu przez pierwsze dwa dni festiwalu, przez następne dwa — telety-pistki, a w końcu oddano im do dyspozycji nie w pełni sprawny aparat.

INFORMACJE

Milowy słup

W czerwcu w Koninie rozstrzygnięto I Ogólnopolski Konkurs Poetycki o nagrodę „Milowego Słupa", ogłoszony przez Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy działający przy Zarzadzie Wojewódzkim ZSMP w Koninie.

Jury w składzie: Wojciech Jamroziak, Jan Paweł Krasnodębski, Józef Ratajczak (przewodniczący) i Mariusz Rosiak (sekretarz) po zapoznaniu się z nadesłanymi 360 zestawami wierszy przyznało następujące nagrody i wyróżnienia:

I nagrodę otrzymał Wojciech Sroczyński z Gorzowa,

II nagrodę — Aleksander Migo z Krosna,

III nagrodę Janusz Grzyb z Wałbrzycha.

Nagrodę za najlepszy wiersz związany z regionem konińskim przyznano Jerzemu Beniaminowi Zimnemu z Poznania.

Nagrodę za najlepszy wiersz zaangażowany Stefanowi Rusinowi z Konina,

Nagrodę za debiut Annie Wernerowej z Katowic.

Przyznano także trzy wyróżnienia. Otrzymali je: Jerzy Sznajder z Konina, Czesław Parzych z Ostrołęki i Wojciech Gawłowski z Poznania.

Wszystkie nagrodzone i wyróżnione wiersze opublikowano w lipcowym numerze „Nurtu".

Nagrody „Polityki"

Nagrody „Polityki" za rok 1976 otrzymali:

w dziedzinie prac naukowych i popularnonaukowych:

WŁADYSŁAW LECH KARWACKI za książkę „Łódź w latach rewolucji 1905—1907" (Wyd. Łódzkie);

JÓZEF KOWALSKI za książkę „Komunistyczna Partia Polski 1935—1938" (Książka i Wiedza);

MARIAN ORZECHOWSKI za książkę „Wojciech Korfanty" (Ossolineum);

JAN E. ZAMOJSKI za książkę „Polacy w ruchu oporu we Francji 1940—1945" (Ossolineum);

w dziedzinie pamiętników i wspomnień

WACŁAW DARUK za „Dziennik jednego roku" (Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza).

Natomiast nagrody za 1977 r. przyznano:

w dziedzinie prac naukowych i popularnonaukowych

STEFAN KIENIEWICZ za książkę „Warszawa w latach 1914—1975" (PWN);

MARIAN MAREK DROZDOWSKI za książkę „Stefan Starzyński prezydent Warszawy" (PIW);

PIOTR ŁOSSOWSKI za książkę „Między wojną a pokojem. Niemieckie zamysły wojenne na wschodzie w obliczu traktatu wersalskiego. Marzec-kwiecień 1919 r." (Książka i Wiedza);

JERZY TARGALSKI za książkę „Ludwik Waryński" (Książka i Wiedza);

w dziedzinie pamiętników i wspomnień

RYSZARD GDULEWSKI za książkę „Pirotechnicy z fabryki »Gerlacha«. Z dziejów centralnego laboratorium uzbrojenia GL i AL" (Wyd. MON);

WIKTOR STEFFEN za książkę „Moja droga przez życie" (Pojezierze);

HELENA SYRKUS za książkę „Ku idei osiedla społecznego 1925—1975" (PWN).

Już niedługo...

Już niedługo, bo za 300 dni zostanie przekazany Zamek Królewski w Warszawie, który stanie się największą narodową skarbnicą dzieł sztuki, szeroko otwartą dla współczesnych problemów życia społecznego i kulturalnego. Przewidziano dla jego wyposażenia ok. 18 tys. zabytkowych przedmiotów. Znajdą się w Zamku również największe działa Jana Matejki.

SPROSTOWANIE

W poprzednim numerze „Odgłosów" we fragmencie powieści WIESŁAWA JAŻDŻYŃSKIEGO pt. „Róże profesora Dziwisza" zabrakło nazwiska autora.

Prawidłowy tytuł powinien brzmieć: WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI: RÓŻE PROFESORA DZIWISZA. Za pomyłkę bardzo przepraszamy Autora i Czytelników.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego) JERZY WILMAŃSKI, (sekretarz redakcji) Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

POLITOLOGIA

ANDRZEJ BLAJER

IDEOLOGIA CZY ANTYIDEOLOGIA?

Jeden z wybitnych polskich politologów, prof. Franciszek Ryszka napisał kiedyś, w jednej ze swych prac, iż niewiele jest spraw bardziej kontrowersyjnych we współczesnych naukach społecznych od sprawy ideologii, a raczej jej funkcji w dzisiejszym podzielonym świecie. W stwierdzeniu tym kryje się głęboka słuszność, gdyż mało które pojęcie cechuje taka dowolność znaczeń i chaos semantyczny, jak właśnie pojęcie „ideologia", posiadające notabene kilkadziesiąt definicji. Owa wieloznaczność staje się szczególnie wyraźna, gdy rozpatruje się zagadnienie ideologii w sensie racjonalizacji i motywacji działań politycznych.

W ostatnich latach prowadzone były liczne badania socjologiczne zmierzające do określenia roli i funkcji, jakie spełnia ideologia w warunkach wzmożonej konfrontacji sił kapitalizmu i socjalizmu. Różnorakie aspekty tego ważkiego problemu obejmują zazwyczaj nie tylko właściwe funkcje społeczne ideologii jako środka obrony określonego ustroju społecznego, kwestie zasadności i skuteczności tej obrony, ale także wzajemny stosunek ideologii i systemów naukowych, scjentystyczne podejście do badania cech i zachowań współczesnych społeczeństw.

Widoczny wzrost zainteresowania ideologią ze strony zachodnich naukowców, zwłaszcza socjologów, jak obserwuje się w ostatnim piętnastoleciu, można wytłumaczyć z jednej strony znacznym rozszerzeniem się zasięgu wpływów ideologii marksistowskiej, z drugiej natomiast trudnościami w interpretacji licznych i coraz wyraźniejszych symptomów kryzysu gospodarczo-społecznego kapitalizmu, strukturalnym zachwianiem mechanizmów funkcjonowania systemu oraz brakiem niezbędnej perspektywy rozwojowej. Toteż większość badań podejmowanych na Zachodzie, odnoszących się do analizy relacji ideologia — polityka w aspekcie zasadniczego sporu o rolę i miejsce ideologii w kształtowaniu świadomości i postaw społeczno-politycznych, przeniknięta jest zazwyczaj dążeniem do zafałszowania marksizmu i obalania go.

Ataki na marksizm-leninizm prowadzi się obecnie nie tylko na płaszczyźnie znanych z przeszłości i jedynie nieco odnowionych koncepcji, lecz wykorzystuje się również nowoczesne teorie antykomunizmu. Te ostatnie zwłaszcza zasługują na szczególną uwagę, ponieważ ilustrują wyraźne dążenie do rozbicia marksizmu na dwie odrębne, rzekomo niezgodne ze sobą części, to jest — na „elementy obiektywnie naukowej interpretacji procesów społecznych" oraz na ideologiczną (światopoglądową) nadbudowę, służącą jedynie „ograniczonym klasowo, partyjnym ideałom i celom komunistów", i dlatego nie mającą związku z naukami społecznymi.

Owa „nieodpowiedniość" między obu częściami nabiera jakoby wyjątkowej ostrości w warunkach rewolucji naukowo-technicznej sprzyjającej rzekomo szerokiemu wdrażaniu metod naukowych również w dziedzinie badań społecznych, które powodują, iż „jakieś szczególne, marksistowskie czy inne podejście ideologiczne do problemów społecznych staje się zbędne".

Stanowisko takie, reprezentowane przez szerokie kręgi zachodnich socjologów i politologów, odzwierciedla wyraźny wzrost refleksyjności burżuazyjnej myśli politycznej. Świadczy o tym m. in. tendencja powoływania się na autorytety czołowych klasyków nauk społecznych, co daje się obecnie zauważyć w licznych zachodnich opracowaniach z dziedziny socjologii i politologii. Stanowi to zarazem widomy sympton gruntownych poszukiwań teoretycznych, które podejmuje współczesna nauka i ideologia Zachodu, co jednocześnie symbolizuje osiągnięcie końcowego stadium cyklu rozwojowego ideologii burżuazyjnej. Nie jest to bynajmniej stwierdzenie gołosłowne. Ideologiczne rozdroża kapitalizmu jako systemu społeczno-politycznego ujawniają się bowiem w całej pełni już choćby tylko przy pobieżnej ocenie dotychczasowego dorobku twórczego burżuazyjnej działalności teoretycznej. Kierując ostrze tej działalności przeciwko nauce marksistowskiej, zamierzano osiągnąć dwa cele.

Pierwszym z nich miało być stworzenie ideologicznej alternatywy marksistowskiej wizji przyszłości poprzez interpretację postępu cywilizacyjnego w kategoriach odpowiadających celom panowania klasowego burżuazji.

Spełnienie drugiego celu miało się z kolei dokonać poprzez wykorzystanie niektórych koncepcji porządku społecznego, zawartych w doktrynie marksistowskiej i praktyce społeczeństw socjalistycznych, aby tym sposobem wkomponować je w wizję rozwoju kapitalizmu, przy jednoczesnym negowaniu strukturalnej przynależności tych koncepcji do socjalizmu.

Pomimo jednak, iż dążenia zostały w miarę jasno określone, to jednak drogi prowadzące do ich realizacji cechują istotne niekonsekwencje. Przede wszystkim, dążąc do zdeprecjonowania teorii marksistowskiej, wielu zachodnich socjologów głosi potrzebę „wyzwolenia" nauk społecznych od „nienaukowych", ideologicznych nawarstwień, twierdząc, jakoby „era ideologii" należała już do historii, a wszystkie państwa w swej polityce powinny kierować się wyłącznie celami pragmatycznymi. Ów mit „dezideologizacji" życia społecznego stoi jednak w wyraźnej sprzeczności z aktualną rzeczywistością, gdyż nigdy dotychczas nie obserwowano tak silnego wpływu ideologii na postawy i zachowania licznych warstw społecznych, co obecnie. W odpowiedzi burżuazyjni teoretycy sugerują, iż jest to swego rodzaju paradoks, ponieważ z jednej strony — ich zdaniem — w warunkach rozpowszechniania się wiedzy naukowo-technicznej ideologia „przeżywa się", a z drugiej — występuje wzrost jej znaczenia w życiu społecznym, zwłaszcza przy dokonywaniu przez ludzi wyboru „systemu wartości", jako podstawy działalności, celów i ideałów, którymi kierują się w swym postępowaniu i układaniu stosunków.

Z takiej interpretacji można byłoby zatem wysnuć wniosek, iż **walka ideologiczna** toczy się nie wokół problemów naukowych, dotyczących funkcjonowania współczesnych społeczeństw i kierowania procesami społecznymi, a wyłącznie wokół „wartości" uznawanych czy odrzucanych przez rozmaite grupy i warstwy tych społeczeństw. Myśl przewodnia podobnych rozważań zawiera się w stwierdzeniu, że ideologia nie ma nic autentycznego w sensie naukowym, ponieważ akceptowane lub odrzucane przez ideologię „systemy wartości" są jednakowo możliwe i dlatego nie mogą służyć jako naukowe kryterium ustalenia wyższości jednego systemu nad drugim.

Toteż kwestia wyższości i preferencji jednego systemu wartości nad drugim — na przykład ideologii socjalistycznej nad kapitalistyczną — nie sprowadza się bezpośrednio do „różnic w rozwiązaniach problemów społecznych" — jak sugeruje Raymond Aron („Dix-huit leçons sur la Societé industrielle") — lecz dotyczy głębszych aspektów zagadnienia, odnoszących się do socjalnych typów społeczeństwa i stadiów rozwoju społecznego. W konsekwencji nie wystarczy powiedzieć, że ideologia stanowi system idei i twierdzeń odpowiadających interesom klas i grup społecznych. Naukowa analiza społecznych funkcji ideologii zakłada wyjaśnienie również tego, o jakie klasy i grupy chodzi oraz jaki typ społeczny istniejącej czy też powstającej struktury społeczeństwa one reprezentują. Tyle, że spełnienie tego warunku ujawniłoby z całą ostrością słabość i ograniczoność wywodów burżuazyjnych teoretyków, wobec czego nie wahają się oni w swych rozważaniach umiejscawiać na jednej płaszczyźnie całkiem przeciwstawne ideologie, i to przeciwstawne nie tylko z punktu widzenia spełnianych funkcji społecznych, ale również z punktu widzenia ich stosunku do nauk społecznych.

Innym, często wypowiadanym poglądem, jest twierdzenie, iż w ideologii nie ma nic poza „uprawomocnieniem systemu wartości orientacji" ludzi (T. Parsons: „The Social System"). Zawarta tu sugestia wskazuje więc, iż wszelka ideologia wychodzi w konsekwencji z założenia, że słuszne są i nadają się do zaakceptowania tylko takie działania, postawy i wzajemne stosunki wśród ludzi, które przedstawiciele danej ideologii oceniają jako słuszne i nadające się do zaakceptowania. Parsons wypowiada przy tym opinię na temat roli nauk społecznych w zakresie analizy wspomnianego zagadnienia, stwierdzając, iż przedmiotem ich zainteresowania winny być problemy klasyfikacji działań społecznych i stosunków międzyludzkich, to znaczy ustalenie czy są one zgodne lub rozbieżne z wartościującym systemem orientacji, jaki obowiązuje w danym społeczeństwie.

Takie rozdzielenie nauk społecznych i ideologii stanowi charakterystyczny sposób intensyfikowania funkcji przeciwstawnych form ideologicznych świadomości społecznej. Jeśli bowiem żadna z tych form nie opiera się na nauce, nie jest z nią w jakiś sposób związana, czy też nie wynika z nauki, to czy istotnie nie może być żadnych zasadniczych różnic także w funkcjach spełnianych przez nie w życiu społecznym?

Konsekwencją takiego podejścia do problemu jest m. in. pogląd, że ideologie burżuazyjna i marksistowsko-leninowska są w równej mierze tylko „środkiem legitymizacji (uprawomocnienia) istniejącego systemu społecznego" i tzw. „socjalizacji" (wychowania) ludzi w duchu oddania temu systemowi. Powyższa koncepcja w zastosowaniu do wewnętrznej i zagranicznej działalności państwa burżuazyjnego i socjalistycznego wychodzi z założenia, że ideologia spełnia niejako „funkcję autentyzującą" (tj. uzasadnia i broni tej działalności). Znany amerykański sowietolog, prof. P. de George, powołując się na przykład radziecki i komentując ową „autentyzującą funkcję" w odniesieniu do marksizmu-leninizmu twierdzi, że w tej ideologii nie ma nic poza „uzasadnieniem polityki i działalności radzieckich instytucji, celów, do których one dążą, wartości i ideałów, jakie usiłuje się wpajać narodowi radzieckiemu".

Równocześnie ukazuje się ideologię burżuazyjną jako światopogląd w porównaniu z marksizmem bardziej obiektywny, podkreślając przy tym, iż w zachodniej ideologii występuje przecież pewien krytyczny stosunek do kapitalistycznego ustroju społecznego, podczas gdy marksizm-leninizm uważa **„społeczeństwo socjalistyczne i socjalizm w ogóle za najlepszy z możliwych ustrojów społecznych".**

Ponieważ systemów społecznych może być kilka, to tym samym wybór jednego z nich, stawianie go wyżej od innych nie ma żadnego związku z teorią naukową, a stanowi tylko wyraz przemijających czy też klasowych interesów. Usiłując zanegować naukowy charakter marksistowskiej teorii socjalizmu, zachodni marksolodzy sprowadzają ją zwykle do ideologii partii komunistycznej, którą ta ostatnia „narzuca klasie robotniczej". Toteż, czego bynajmniej nie kryją, dążeniem ich jest działać na rzecz „wyzwolenia" społeczeństw socjalistycznych od „destruktywnego" wpływu ideologii marksistowsko-leninowskiej. Celowi temu ma służyć m. in. doktryna „ewolucyjnej transformacji", głosząca przekształcenie „wyzwolonego" społeczeństwa socjalistycznego w „społeczeństwo pluralistyczne", w którym liczne ugrupowania polityczne cieszyłyby się pełną swobodą działania i w którym tolerowano by tendencje „odchyleń" od marksizmu-leninizmu. Jednocześnie, aby nadać swojemu stanowisku jakikolwiek choćby pozór słuszności, niektórzy przedstawiciele zachodniej socjologii i politologii powołują się przy tym na K. Marksa i F. Engelsa, którzy rzekomo również krytykowali i demaskowali nienaukowy, fałszywy charakter wszelkiej ideologii. Usiłując opierać się w tych kwestiach na marksizmie owi socjologowie i politolodzy „zapominają" jednakże o tym, że klasycy marksizmu pod pojęciem „wszelkiej ideologii" rozumieli panujące wówczas doktryny ideologiczne i koncepcje, których podstawą jest idealistyczne stanowisko wobec zjawisk i procesów społecznych.

W czym zatem zawiera się sens owej nieideologicznej socjologii naukowej?

Istotę tego problemu najlepiej chyba ilustruje wypowiedź cytowanego już socjologa i filozofa francuskiego, Raymonda Arona. Jego zdaniem, ponieważ ani kapitalizm ani socjalizm „nie usunęły nierówności dochodów, nie zniosły hierarchii stanowisk i autorytetów, nie zatarły różnic między grupami społecznymi", dlatego też „żadne moralne wyobrażenie nie pozwala przypisywać jednemu wszystkich zasług, a drugiemu tylko wad". (R. Aron: „Dimensions de la conscience historique"). W ten sposób „socjologia naukowa" R. Arona nie daje jak gdyby argumentów ani na rzecz kapitalizmu, ani na rzecz socjalizmu i traktuje oba ustroje „obiektywnie", rozpatrując je tylko jako „odmienne rozwiązania problemów społecznych". W rzeczywistości jest to próba utożsamienia nierówności w socjalizmie z nierównościami w kapitalizmie, negowania wyższości pierwszego nad drugim, a wskutek tego kwestionowania, również konieczności walki wyzyskiwanych w kapitalizmie mas o swe wyzwolenie i socjalizm.

Warto jednakże zauważyć, że owa „naukowa socjologia" francuskiego naukowca, wysuwana przezeń jako alternatywa wszelkich teorii ideologicznych, nosi charakater jawnie ideologiczny. W ten oto sposób uczeni zwalczający „ideologię" sami popadli w niewolę ideologii, gdyż antyideologia, którą głoszą jest także ideologią w tym sensie, w jakim interesuje ona nauki społeczne. Tak pojmowana „antyideologia" stanowi bowiem, jak pokazano powyżej, stworzony przez siebie zbiór specyficznych poglądów, idei i wyobrażeń oraz system wartości, które tylko z pozoru mają charakter pozytywny, faktycznie zaś interpretowane są wyłącznie przez negację. Toteż właśnie z takiego punktu widzenia należy rozpatrywać szumne idee „wolności" lub „wolnego świata" propagowane przez Zachód, które jednak nie są niczym innym, jak swoistą ideologią „geograficznego pojęcia wolności".

Jak więc widać, sugestie zachodnich marksologów głoszące potrzebę wyzwolenia się społeczeństw spod „zgubnego" wpływu ideologii odnoszą się tylko do ideologii marksistowskiej, wbrew bowiem twierdzeniom o konieczności dezideologizacji życia społecznego, na Zachodzie obserwuje się zjawisko wręcz odwrotne. Otóż w miarę nasilania się ogólnego kryzysu kapitalizmu potęguje się rola czynnika ideologicznego w obronie interesów klasowych burżuazji i to nie tylko w konfrontacji ideologicznej dwu systemów, ale także w ramach systemu społeczno-politycznego samego kapitalizmu. Świadczą o tym wymownie lansowane obecnie pseudooptymistyczne koncepcje futurologiczne „postępowej ewolucji" kapitalizmu, takie jak: teoria „stadiów wzrostu ekonomicznego". W. Rostowa, teoria „społeczeństwa przemysłowego" R. Arona, „społeczeństwa technotronicznego" Z. Brzezińskiego, „społeczeństwa poekonomicznego" M. Kahna, bądź „społeczeństwa postindustrialnego" D. Bella. Nie zmienia to jednak faktu, że również i te teorie, celowo przecież pozbawione uwarunkowań klasowych, historycznego uzasadnienia ewolucyjnego, oraz funkcjonalnego zróżnicowania, nie mogą stanowić ideologicznej **alternatywy marksistowskiej teorii rozwoju społecznego, a zatem nie są w stanie przezwyciężyć rozdroży ideologii burżuazyjnej.**

NIE TYLKO HISTORIA

„TARGOWICY PATRIOTYZM"

Jest taki satyryczny wiersz Adama Asnyka, wymierzony przeciwko koncepcjom głoszonym przez krakowską szkołę historyczną, w którym historyków tego kierunku orkarża się, że w świetle ich wywodów:

„Jasną gwiazdą lśni despotyzm
I wychodzi czysto na wierzch
Targowicy patriotyzm".

Oczywiście krakowskim historykom ani było w głowie wychwalanie rzekomego patriotyzmu targowiczan. Bylibyśmy jednak w błędzie sądząc, że nie ma w naszym piśmiennictwie nikogo, który by głosił tego rodzaju sądy. Zajrzyjmy do opublikowanego niedawno (1976) przez Jerzego Piechowskiego we wrocławskim Ossolineum „Pamiętnika oficjalisty Potockich", pióra niejakiego Antoniego Chrząszczewskiego, a przekonamy się, że byliśmy w błędzie. Pamiętnik ten nie należy z pewnością do arcydzieł literatury tego gatunku, jest jednak dziełkiem godnym uwagi ze względu na sprawy, o których opowiada. Autor był przez długie lata związany z domem Potockich, wiele lat bawił w Tulczynie, znał doskonale środowisko, skupione wokół osoby osławionego Stanisława Szczęsnego Potockiego, wiele wiedział o ówczesnych sprawach i ludziach. Ubogi szlachcic nie odebrał olśniewającego wykształcenia — uczył się w szkołach bazyljańskich w Humaniu — nie posiadał też większych uzdolnień literackich. Smażył co pewien czas wzorem tylu współczesnych przyciężkie, okolicznościowe wierszydła, silił się na pisanie mających olśnić dobrym smakiem i pożyczaną erudycją listów — wszystko to J. Piechowski wydał w aneksie do pamiętnika — ale talentu poetyckiego ni epistolograficznego nie okazał. Pod koniec życia zabrał się do pisania pamiętnika. Uczynił to nie z własnej inicjatywy, ale na gorące namowy Hermana Hołowińskiego, Michała Grabowskiego oraz Konstantego Świdzińskiego. Szczególnie usilnie zachęcał A. Chrząszczewskiego do tej pracy M. Grabowski — niechybnie obok Henryka Rzewuskiego najwybitniejsza indywidualność pośród pisarzy tzw. koterii petersburskiej, człowiek podobnie jak autor „Listopada" zdecydowanie zachowawczych poglądów, rozmiłowany w szlacheckiej kresowej tradycji. Nie oczekiwał on — jak się zdaje — od pamiętnikarza utworu o jakiejś większej wartości literackiej, ale raczej dzieła o charakterze dokumentacyjnym. Uważał bowiem nie bez racji, że A. Chrząszczewski mógł „napisać szczegóły, mianowicie o dworze tulczyńskim, których od nikogo innego otrzymać niepodobna".

A. Chrząszczewski napisał wreszcie swój pamiętnik, chociaż nie zdołał go w zupełności wykończyć. Pracował nad nim nie bez obaw. Nieraz zastanawiał się, czy podawane wiadomości nie będą zbyt rażące czy to dla samych Potockich, czy dla przedstawicieli innych kresowych rodzin. Pamiętnikarz czuł się bowiem związany ze swymi dawnymi chlebodawcami, od których zresztą pod koniec życia pobierał skromną „gracyjkę". Oficjalista magnackiego rodu zwyciężył w A. Chrząszczewskim dawnego sympatyka Konstytucji 3 Maja. Z przekonaniem podjął się on więc obrony i usprawiedliwiania swego dawnego pana, Stanisława Szczęsnego Potockiego, nie bez trudu usiłując umodelować go na wzór prawego obywatela. Przypisywał mu szlachetne intencje dążenia — w swych działaniach — do ocalenia chylącej się ku upadkowi Rzeczypospolitej, dowodził, że nie tyle on zdradził, ile że sam został zdradzony. Głosił z pełnym przekonaniem:

„Przyjdzie może ten czas, w którym potomność nie z przekazu przeciwnych Potockiemu przesądów, ale z czynów i prawych zamiarów sądzić go będzie i jak przed dwoma wieki uchwały sejmowe zniosły zasądzoną na Lubomirskim i Wyhowskim infamię, tak i ona przez wyrok sumiennych i nieuprzedzonych dziejopisów zdejmie z imienia jego niesłusznie nawleczoną niecześć".

Wynosił wreszcie „patriotyzm" swego bohatera, na którego spoglądał oczyma pokornego i usłużnego oficjalisty. Pisał więc:

„Nie wierzę ja w patriotyzm, co się nie zaczyna od cnót domowych, ale człowiek poczciwego obejścia się w prywatnych z ludźmi stosunkach jest zawsze poczciwym i w obszerniejszym zakresie narodowej sfery. Takim był przez całe życie Potocki, jako prawdziwy ojciec swoich poddanych".

Magnat łaskawy dla swoich sług; oto dla naszego pamiętnikarza... wzór patrioty! Doprawdy kuriozalne. A. Chrząszczewski nie omieszkał też wychwalać pod niebiosa stosunku swego pana do poddanych, dowodząc, że jego inicjatywy, zmierzające do polepszenia doli chłopa, były zbawienne i stawiały tamę „niebezpiecznym następstwom, jakie ciągnie za sobą ogólne wyzwolenie ludu".

Serwilista, pochlebca, reakcjonista, człowiek o mentalności dworaka wiszącego u pańskiej klamki, dla którego też każda klamka — byle oczywiście pańska — była dobra; oto, jak nam się rysuje imć pan A. Chrząszczewski w świetle swojego, dzisiaj już nikogo nie szokującego pamiętnika. Utwór ten zwietrzał z czasem: mało kogo dzisiaj obchodzą sprawy dworu panów na Tulczynie, większa część sensacyjnych szczegółów, podanych przez pamiętnikarza, jest już od dawna znana. Ale pamiętnik tulczyńskiego oficjalisty posiada znaczenie, jako zapis pewnego rodzaju mentalności, pewnego sposobu myślenia, niezmiernie charakterystycznego dla zachowawczych środowisk kresowej szlachty tamtych czasów.

ANDRZEJ F. GRABSKI

LITERATURA

JERZY S. FELIKSIAK

Z WYDMY

Moje miejsce dziś na wydmie życia —
śmierć cywilną rozpisano w aktach:
moja głowa bez intelektu
osobowość z uczuć odarta.

z wydmy życia — piach i kamień w zębach,
skurcz zieleni, idący do gardła.
Już nic zjedna mnie żaden lekarz.
Słowo od krwi czerwone jak bandaż.

ZA STREFĄ POMYŚLNOŚCI

Za strefą pomyślności klimat jest surowy —
miraże z lat zielonych pokryte są lodem.
Niejedna aureola rdzewieje jak obręcz.
Przy gościńcu — chochoły wsłuchane w psi skowyt.

Włóczęga, oddalony od rynków i maszkar,
zagląda w stare dziuple i mąci przeręble.
Wiatr rozwiał złote piaski, więc szron teraz srebrem
Na iluzje i słabość dobre — dzikie jabłka.

FELIKS RAJCZAK

* ★ *

Łódź — kokon jedwabnika na morwie okolicy
Z liści dłoni nić swoją wysnuwa jak nienawiść
Lub miłość, która z dymem odchodzi wraca rosą
Podziemnymi rzekami popiół na ustach trawić

I jeśli pobielało to miasto na powietrzu
I jego kamień lustrem woła w przestrzeń: Przybywaj
Z pamięci odpominam złamane pióro wiosło
I oczy mnie unoszą znów nad kominów żniwa

MICHAŁ BOROŃSKI

HORROR

Mija kolejny platoński miesiąc
(lat dwa tysiące, sto i sześćdziesiąt),
strzela ludzkości kolejny krzyżyk,
wielka przemiana skądś się przybliża,
z Ryb epoki w epokę Wodnika
pcha nas Równonoc i Ekliptyka.

A gdy się zmienia gwiazd konstelacja,
tracą zasadność wcześniejsze racje,
na świat przychodzą nowi bogowie;
skąd i dlaczego nikt nam nie powie.

Ogłoszą wkrótce piloci
i lotnisk personel naziemny
ową nowinę fantastyczną,
jak z kart wyjętą science fiction...

GRZEGORZ KOŚCIŃSKI

* ★ *

A ona czeka w czasu koleinie
— Jak na na imię — już nikt nie pamięta —
Płomień zagasa, Haydn zapala święta,
Mozart muzyka swa zapładnia świerszcze.

Czekasz wciąż jeszcze?
Kogo znajdziesz w głowie?
Gdzieś na ulicach odnajdziesz swą pustkę,
Ktoś ci pomacha usmarkana chustką,
Ktoś psa dziś kupił — nieświeże powietrze.

A przecież jestem twoim niewolnikiem
— Bez psa, muzyki, bez błędnej faktury,
Drobny urzędnik — niebezpieczny wielce,
Barok okrutny —
— brak zdrowej struktury.

EDWARD KOPCZYŃSKI

PRZED ZMIERZCHEM

Nora oddała zaaportowaną kurę, a Włodarczyk zatroczył ją do pasa i wyszedł z wysokiej nadwarciańskiej trawy na skarpę wyżej położoną. Rozejrzał się dokoła, nabrał powietrza pełnymi płucami i powiedział do psa:

— Odpoczniemy, Nora — popatrz jakie wygodne miejsce.

Nora zamerdała krótko przyciętym ogonem, jakby chciała wyrazić swoją aprobatę, a Włodarczyk wszedł do płytkiego rowu, porośniętego przyschniętą, ostrą trawą i rozsiadł się wygodnie, mówiąc:

— Jakbym kanapę znalazł, piesku, siedzi się doskonale, jeśli czegoś brakuje, to tylko oparcia dla pleców, ale wszystkiego razem, całego szczęścia nigdy nie ma.

Włodarczyk złamał strzelbę, rozładował ją, z przyzwyczajenia zajrzał jeszcze w lufy i troskliwie położył obok. Potem sięgnął po torbę myśliwską i znów mówił:

— Pochodziliśmy sobie piesku, zdrowo, więc i posilić się wypada. Jak myślisz?

Nora, widząc wesołe błyski w oczach pana, znów ruchem ogona wyraziła swoje zadowolenie i z godnością, bez pośpiechu odebrała z jego ręki porcję kiełbasy. Trzymając ją w pysku, rozejrzała się, gdzie by ją skonsumować, a Włodarczyk klepiąc ręką murawę obok siebie, doradził jej.

— Tu, piesku, tu ci będzie najlepiej.

Kiedy Nora się ulokowała, Włodarczyk pogładził ją po grzbiecie i znów zagaił:

— Popatrz, piesku, jeszcze trochę i będzie zmierzchać, słońce już nisko, wędruje sobie teraz nad rzeką, jest blade i okrągłe jak talerz, a woda szerokim pasem połyskuje matowo. Nic tylko pejzaż malować.

Włodarczyk żuł chwilę, potem wskazał ruchem głowy rozległe łąki przed sobą i oznajmił:

— Wątpiłaś, że znajdziemy tu kury, musiałem cię dopiero przekonać, co?

Nora skończyła właśnie swój posiłek, oblizała pysk wielkim, czerwonym językiem i patrzyła uważnie w oczy pana.

— Kury lubią trzymać się łąk, moja droga, mają tu i pożywienie i schronienie, gdybym cię nie miał, niewiele bym tu zrobił, bo dotrzymują dzisiaj, jak mało kiedy.

Nora, leżąc wygodnie, położyła łeb na kolanie pana.

— Lubisz, jak cię gładzę po twojej wyłysiałej łepetynie, co? Pieszczoch z ciebie. — Włodarczyk łaskotał palcami skórę na łbie Nory i z wymówką w głosie, mówił dalej: — Powinnaś mieć do mnie zaufanie, moja droga, a i własne doświadczenie też się liczy, to twoje dwunaste pole, na dobrą sprawę czas by ci już było na emeryturę. — Nora wyraźnie zadowolona szczeknęła raz, jakby na dowód, że wszystko rozumie, a Włodarczyk uśmiechnął się i ciągnął. — Przyganiał kocioł garnkowi, a sam smoli, co piesku, jeżeli ty emerytka to ja emeryt, bo gdyby moje lata przeliczyć na wasze psie stosunki, też by mi chyba dwunaste pole wypadło...

Włodarczyk odłamał kawałek kiełbasy, włożył do ust i pomyślał: Gdyby kto z boku słuchał lub podglądał, mógłby sądzić, że mam bzika, z psem gadam, jak z człowiekiem — pogłaskał znów Norę po łbie i dodał. — Dwunaste pole, a wcale nieźle nam idzie, napracowałaś się solidnie, a specjalnego zmęczenia po tobie nie widać, szybko łapiesz równy oddech.

Nora, jakby chcąc dać dowód, że zrozumiała mowę pana, podniosła się, odbiegła kilkanaście metrów i trzymając łeb w górze łapała odwiatr. — Włodarczyk przywołał ją jednak:

— Wróć Nora, wiem, że gotowa jesteś do dalszej pomocy, ale na razie daj spokój.

Nora, zawiedziona, wróciła posłusznie i wyciągnęła się z powrotem obok pana, który znów mówił:

— Chytra jesteś, mało ci tego cośmy już zdobyli — spojrzał na troki z kurami i dodał: — Czternaście kuropatw, zgadnij, moja droga, ile razy strzelałem?

Nora patrzyła na pana, a Włodarczyk przez chwilę liczył ładunki w skórzanym pasie.

— Wcale nieźle, piesku, wcale nieźle, czternaście kur, a ładunków poszło dwadzieścia trzy, nie każdy młody tak strzela — Włodarczyk uśmiechnął się zadowolony i ciągnął. — Ale dzisiejsze chodzenie po polach wlazło mi w nogi, moja droga, chyba nawet bardziej niż tobie, posiedzę jeszcze i popalę.

Włodarczyk wyjął pudełko z papierosami, wyciągnął zręcznie jednego, przygotował starannie w palcach i włożył do ust — kiedy zapalił, usprawiedliwił się:

— Wiem, że nie znosisz dymu, piesku, ale musisz przyznać, że nie palę dużo, pudełko starcza mi na dwa dni.

Paląc, Włodarczyk rozpiął płócienną bluzę na piersiach, zdjął z głowy kapelusz i patrząc w zachodzącą kulę słońca, przymrużył oczy...

Z psem rozmawiam, bo tak się ułożyło i tak jest dobrze, na pewno jest łatwiej... Mam podobno trudny charakter, nie mogą się ze mną dogadać. Syn namawia bym zamieszkał z jego rodziną, synowa też rada, wnuki wisusy też go namawiają, on tylko nie chce. Nie rozumiem ojca — mówi często Wojtek — jakie przeszkody ojciec widzi... Udał mi się Wojtek, inżynier, wynalazca, a przecież wszystkich rozumów nie zjadł, nie rozumie...

Od strony rzeki powiał mocniejszy podmuch wiatru i Włodarczyk z powrotem zapiął kurtkę.

Pewnie, że wygodniej byłoby mu u Wojtka. Chcą mu oddać jeden pokoik, jeden z trzech. Będzie ojciec miał z kim porozmawiać, będzie ojcu raźniej, a i my będziemy spokojniejsi. Dlaczego spokojniejsi? No, ma przecież ojciec 64 lata, tylko rok do emerytury, a trzy lata Oświęcimia też się liczą. Pewnie, że się liczą, dla wielu policzyły się bez reszty... Inżynier, wynalazca, a tu ciemny jak tabaka w rogu. Byłoby mu raźniej, to prawda, ale nie takie to proste, jak Wojtek widzi. Zawsze był panem u siebie, robił co zechciał, kiedy miał chęć, radia posłuchał, w telewizor popatrzył, kolegów na brydża zaprosił, nalewką poczęstował, jego sprawa to była, jego i Wandy... Nie będziemy ojca krępować — zapewniała synowa. Pewnie, że w ich przekonaniu nie będą, ale on musi wejść w układ ich życia, on musi się dostosować... Kiedy z żoną snuli plany na stare lata, zawsze mówili, żeby tylko u siebie, nie z synem, kochali Wojtka, on ich kochał, ale chcieli zawsze osobno, bo to przecież nie o jednym się słyszało — największa miłość, a potem swary. Wanda nie dotrzymała umowy, młodsza o pięć lat, a odeszła dwa lata temu. Odeszła, cicho, niespodziewanie, tak jakby tym swoim odejściem chciała mu sprawić możliwie najmniejszy... Wojtek namawia, ale nie namówi. Nauczył się żyć po nowemu. Rano i wieczorem spacer z Norą, obiad w stołówce, wcale niezły, za dwanaście złotych, po pracy zakupy w sklepie, śniadania i kolacje w domu. Kiedy się krząta w mieszkaniu przy gospodarskich zajęciach, Nora mu pomaga, tak jej się chyba zdaje, jest zawsze przy jego nodze. On do kuchni, ona do kuchni, on do pokoju, ona do pokoju, śmieci na podwórze niesie, Nora przy nim. Kiedy odpoczywa, siedząc na kanapie, Nora jest obok, tak jak teraz, jest obok i patrzy na niego swoimi ślepiami, potrafi się nawet tymi ślepiami uśmiechać, kochana suka.

Od strony rzeki powiał znów mocniejszy wiatr i Włodarczyk nałożył kapelusz...

Koledzy chcą go ożenić — mówią, że baby lecą na wdowców — swatają z koleżanką biurową. Nawet niczego sobie ta koleżanka, ma chyba pięćdziesiątkę. Często z nią pogada, pożartuje. Powie na przykład, że po kopie to po chłopie. Ona na to, że gdzie woda była, tam będzie. Wygląda na to, że nie byłaby wcale od tego, ale żeniaczka mu nie w głowie. Z Wandą przeżył trzydzieści dziewięć lat... i nigdy jej nie oszukał. Nie dotrzymała umowy, snuli plany... Wanda wychowała mu Norę od szczeniaka. Nora przenadała za nią. Kiedy Wandy brakło, przez trzy dni nie wzięła nic do pyska, myślał nawet, że się pies wykończy... Jemu też niewiele brakowało... W pustym domu zaczął gadać z psem, bo wokół była cisza, dotkliwa cisza — Włodarczyk głaskał Norę po grzbiecie. — Dobry rozmówca, zawsze chętny, zgodny... Nigdy nie mieli psa, Wanda miała dużo cierpliwości, bo wcale nie tak łatwo psa wychować. Za szczeniaka dał tysiąc złotych i warto było, chociaż w pierwszym polu gorąca była, niejedno polowanie mu zepsuła. Cóż, była młoda, zapalczywa, temperament ją ponosił. W drugim polu wziął się za nią ostro, nauczył moresu, potem już choćby na konkursy mógł z nią jeździć... W pracy szanują go. Wierny żonie i pracy. Pracuje od początku w tej samej instytucji, tyle, że z przerwą wojenną... Wojtek wynalazca, a głupi. Mógłby ojciec przestać polować, to już ojcu nie idzie na zdrowie. Pewnie, że mógłby przestać. Wielu rzeczy można by zaprzestać. Mógłby np. nie czytać Kraszewskiego i Sienkiewicza, wyrzekłby się tylko wzruszeń. Dla Wojtka wszystko jest takie proste. W ogóle dla młodych wiele rzeczy jest prostych, doniero później im się to komplikuje... Polowanie nie idzie mu na zdrowie. Nigdy Wojtek nie miał smykałki do polowania, ale żeby aż nic nie rozumiał... Polowanie to spotkanie z polem, z lasem, z przyrodą, to wreszcie sprawdzanie siebie. Choćby i dzisiaj. Samochód rozrzucił myśliwych na przestrzeni dziesięciu kilometrów; ruszył z Norą w pole o dziewiątej, chodził z dwoma odpoczynkami dziewięć godzin zrobił, tak na oko, z piętnaście kilometrów, a czuje się świetnie. Jeżeli nie świetnie, to wcale dobrze, nogi i młodemu weszłyby w siedzenie. Spocił się co prawda kilka razy, ale dzień był ciepły, a on chyba ubrał się za grubo, do tego płócienna bluza nie bardzo przepuszcza powietrze, na przyszłą niedzielę trzeba będzie ubrać się inaczej...

O tym, że jest w dobrej formie świadczy również strzelanie, na pewno świadczy, miał trzy dublety i to jakie — kury szły jak kamienie wyrzucone z procy, w różnych kierunkach, potrzebny był prawie cały obrót ciała, a on dał radę. Miałeś też pudła, rzetelne pudła — Włodarczyk żachnął się w sobie. — Każdy ma pudła, najlepszy strzelec spartoli. To prawda, ale tobie przeszkodził oddech. Pamiętasz te wysokie łęty, przyśpieszyłeś kroku, bo sądziłeś, że Nora nie strzyma i kiedy przyszło strzelać, płuca zawiodły, brakło ci powietrza, walnąłeś dwa razy Panu Bogu w okno... Polowanie nie idzie ojcu na zdrowie. Inżynier, a udaje doktora. Nie domyśla się pan wynalazca, że tu, na polu czy w lesie, jego ojciec odpoczywa. Kiedy wraca z polowania zmęczony fizycznie, jest gotów do nowego tygodnia wytężonej pracy umysłowej — dziwne to, ale prawdziwe, sprawdzone od wielu lat. Gdzie, jak nie tu, na polu, można oddychać takim powietrzem, trawą soczystą, liśćmi drzew, chłodem rzeki, gdzie tyle można się napatrzeć? Może w biurze, w czterech ścianach gabinetu, albo na zatłoczonych ulicach miasta...

Włodarczyk podniósł się szybko, przewiesił torbę przez ramię, kury na trokach przypiął do pasa, wziął do rąk dubeltówkę.

— Idziemy, piesku, — powiedział do Nory — popróbujemy jeszcze.

Nora wybiegła jakieś dwadzieścia metrów do przodu, stanęła, obróciła łeb i spoglądała na pana, czekając przyzwolenia.

— Szukaj, Nora, szukaj.

Pies poszedł w łąki zakosami, obkładał pole, jak wytrawny tropiciel. Aż przyjemnie patrzeć — pomyślał Włodarczyk z zadowoleniem — taki pies to sama radość, miałby go....

Nora tymczasem już wystawiła. Zastygła w bezruchu, z łbem skierowanym w jedno miejsce, z jedną łapą oderwaną od ziemi. Wystawiła dość daleko i Włodarczyk, zemocjonowany, przyśpieszył kroku. Nie śpiesz się — podszepnęło coś — bo znów ci braknie powietrza, w nogach masz kawał drogi. Zwolnił trochę, ale za chwilę znów przyśpieszył, kiedy podchodził do psa, serce biło mu szybko, za szybko, ale już nie było czasu — kury, dwie kury, zerwały się prawie spod psa i poszły wprost od nich, obie w jednym kierunku, nisko nad trawami. Włodarczyk wystrzelił dwa razy, do jednej i do drugiej, ale obie, jakby jeszcze podcięte batem, odleciały ze trzysta metrów i zapadły pod kępą krzewów. Widzisz, masz już na dzisiaj dosyć — podszepnął ten sam głos co przedtem — spartoliłeś na czysto w murowanej sytuacji.

Włodarczyk włożył do komór strzelby dwa nowe ładunki i spojrzał na psa. Nora stała nieruchomo i przyglądała mu się uważnie, wydało mu się, że z wyrzutem. Wzruszył ramionami i powiedział:

— Nie patrz tak, moja droga, każdemu się zdarzy, idziemy po nie.

Szli szerokim kobiercem traw, a Włodarczyk przyznał w duchu, że kiedyś takich kur by nie puścił. Kiedyś... nawet w ubiegłym roku nie puściłby. Nora zwietrzyła coś z prawej strony, odbiegła trochę i obejrzała się, czekając znów na przyzwolenie, ale Włodarczyk przywołał ją krótko:

— Nora, wróć, idziemy po tamte.

Szli znów w kierunku krzewów, a Włodarczyk przewiesił strzelbę przez ramię. Niech ręce trochę odpoczną — pomyślał i nagle odkrył, że z tą jego kondycją musi być nie najlepiej. Czuł ciężar kur zatroczonych do pasa, nawet pasek myśliwskiej torby jakoś ostrzej wpijał się w plecy, a strzelba była wyraźnie ciężka. Może Wojtek ma rację — pomyślał przez moment, ale zaraz wytłumaczył sobie. — Cały dzień polował, więc mógł czuć i zmęczenie...

Do krzewów nie było dalej, jak sto kroków i Nora wybiegła do przodu, ale krótkie „wróć" zatrzymało ją. Kiedy podeszli na pięćdziesiąt kroków, Włodarczyk pozwolił psu szukać. Nora poszła jak po sznurku i niebawem znieruchomiała, wystawiając w zwykły sposób, o parę kroków przed krzewami. Włodarczyk wciągnął powietrze w płuca głęboko raz i drugi, wyrównał oddech, i z bronią gotową do strzału podszedł do psa. Podszedł, a nic się nie działo. — Nora patrzyła tylko jak zahipnotyzowana w jedno miejsce. „Daj" — rzucił, pies poszedł skokiem i zaraz, prawie spod pyska psa, furknęła jedna kura. Włodarczyk pozwolił jej oddalić się o jakieś dwadzieścia metrów i dopiero wtedy strzelił — spadła w trawę jak kamień. Nora czekała na słowo „aport", gdy z lewej strony zerwała się druga — obrót ciała, złożenie się, strzał — i ta spadła, zabita w powietrzu.

Włodarczyk złamał dubeltówkę, myśląc z zadowoleniem, że udał mu się czwarty dublet...

W piętnaście minut potem Włodarczyk siedział znów na „kanapie", trzymając nogi w rowie. Nora kręciła się w pobliżu, zadzierała łeb do góry. Włodarczyk przyglądał się jej chwilę, potem powiedział wesoło:

— Nie udawaj młodzika, moja droga, masz tak samo dosyć na dzisiaj, jak ja. No, chodź tutaj.

Kiedy Nora zbliżyła się do niego, pogłaskał ją po łbie i ciągnął:

— Starzy jesteśmy, piesku, ale w dobrej formie, jeszcze sobie popolujemy. Teraz odpoczniemy trochę i pójdziemy do drogi, w umówione miejsce, skąd nas zabierze samochód. Będzie ze dwa kilometry, jak obszył.

Nora wyciągnęła się w rowie u stóp pana i dyszała, z wywalonym na wierzch językiem.

— Złap oddech, złap — doradził Włodarczyk i spojrzał w kierunku rzeki, gdzie słońce dotykało już prawie ziemi na widnokręgu.

Jeszcze trochę i zacznie się ściemniać — pomyślał — czas by już ruszyć, ale siedzi się dobrze... Teraz kury, a w listopadzie zające — wspomniał. — Który to już raz zapoluje na koty? Koty, to nie to samo, co kuropatwy. Tu chodzi sobie sam, chce to odpocznie, dłużej czy krócej, jego sprawa, tylko jego, a na szaraki poluje zespół, cała grupa ludzi, w większości młodszych od niego. Cały czas poganiają siebie i naganiaczy, bo dla nich jedno pędzenie więcej, to jeszcze jedna okazja do dobrego strzału, jeszcze jedna okazja do wykazania swojej zręczności. Sam kiedyś nie był inny, też było mu mało, takie już widać prawo... Nigdy jeszcze nie prosił o żadną ulgę, chodził tak, jak inni, nadążał zawsze chociaż w ostatnim roku kosztowało go to... Każdy nowy sezon, to nowa próba sił... Udał mu się Wojtek, udał bo udał, wszystkie nauki zjadł, a czasem zupełnie nierozgarnięty — Włodarczyk uśmiechnął się. — Proponuje wspólnę mieszkanie, tak jakby proponował wspólne zjedzenie obiadu. Przeniesie się ojciec do nas i po kłopocie, rzeczy z mieszkania może ojciec sprzedać, bo u nas jest wszystko, jedna osoba więcej nic nie znaczy... Rzeczy może ojciec sprzedać, pewnie, że może, to że jest do każdego grata przywiązany, to już tylko jego sprawa, prywatna — teraz są przecież modne inne rzeczy, inne meble... Jedna osoba więcej — tak Wojtek powiedział — tylko w tej swojej inżynierskiej głowie zapomniał o jednym, zapomniał o Norze. Gdyby był sam, może zdecydowałby się, ale z psem tam nie pójdzie, bo psa, żeby się z jego obecnością godzić, trzeba kochać, albo bardzo lubić. Nie powiedział Wojtkowi o Norze i nigdy nie powie bo i po co. Mógłby go Wojtek nie zrozumieć, jest trzeźwy, rozsądny, praktyczny tak jak większość młodych ludzi dzisiaj...

Może by jednak spróbować przy najbliższej okazji, kiedy znów go będą nakłaniać — pomyślał przez chwilę, ale zaraz tę myśl odsunął. Nie zniósłby, gdyby ktoś miał jego psa karcić, może nawet uderzyć, a w mieszkaniu syna, przy najlepszych ich chęciach, mogłoby przecież i to się zdarzyć. Wanda wychowała Norę i chyba i ona tę jego decyzję popiera. A innego wyjścia nie ma, bo rozstanie się z Norą w ogóle nie wchodzi w rachubę. Jakby ten jego dzień wyglądał, gdyby po przyjściu z pracy do domu, nie witała go na progu psia radość, której doświadczał codziennie. A jego spacery znajomymi ulicami miasta, jakby wyglądał bez Nory.. Zresztą jest przecież temu psu coś winien w zamian za jego wierność, obowiązuje ich jakieś wzajemne porozumienie, nie pisane, ale przecież porozumienie. Ile sezonów jeszcze ich czeka? Może dwa, może trzy, Nora ma już trzynaście lat, a w jej rodzie to starość...

Gdzieś niedaleko usłyszał Włodarczyk lecące kuropatwy, a jednocześnie Nora jednym susem wyskoczyła z rowu i chciała biec w kierunku, gdzie zapadły — w trawie, jakieś sto metrów od nich, przywołał ją jednak:

— Wróć, Nora, tym darujemy.

Pies patrzył na pana zaskoczony, a Włodarczyk zebrał rzeczy i podniósł się, mówiąc:

— Pójdziemy do drogi, piesku, bo możemy się spóźnić.

Słońce znad rzeki patrzyło za nimi — za oddalającą się sylwetką człowieka i psa przy jego nodze.

WYNALAZKI

KAZIMIERZ WODZYŃSKI

DWÓCH, KTÓRZY WYNALEŹLI FONOGRAF

Wynalazek Thomasa Edisona posiada doniosłe znaczenie zarówno w historii techniki, jak i w historii kultury. Jego kulturowe walory zdają się jednak wielokrotnie przewyższać epokowe znaczenie fonografu w dziedzinie techniki. Doniosłość fonografu, zwłaszcza w odniesieniu do kultury muzycznej, porównywać dziś można, bez przesady i wygórowanych ocen, z epokową doniosłością wynalazku Gutenberga. U podstaw tej analogii leży sens obu wynalazków, a więc utrwalenie i upowszechnienie poprzez powielanie. Podobieństwa między książką i płytą gramofonową wykazują więc wiele zbieżności, mimo wszystkich różnic jakie je dzielą. Historyczną doniosłość wynalazku fonografu doceniła UNESCO ogłaszając rok 1977 jubileuszowym rokiem stulecia techniki nagrań dźwiękowych. W całym świecie jest on rokiem płyty gramofonowej.

Thomas Edison był samoukiem i nie posiadał stopni naukowych, uzyskanych w wyniku regularnych studiów. W bogatym dorobku swej inwencji twórczej uzyskał ponad tysiąc patentów. Znajduje się wśród nich wiele wynalazków, które przyczyniły się w sposób istotny do ukształtowania współczesnej cywilizacji, by wymienić choć prace z dziedziny elektrotechniki i telekomunikacji. W uznaniu zasług, pod koniec życia powołany został do National Academy of Sciences.

Wyróżnienie przez **UNESCO** fonografu i ogłoszenie setnej rocznicy jego powstania rokiem jubileuszowym nagrań dźwiękowych podkreśla wymownie kulturową rangę nie tylko samego wynalazku „**czarodzieja z Menlo Park**", jak przed stu laty nazywano **Thomasa Edisona**, ale i olbrzymiego dorobku, utrwalonego w ciągu minionych dziesięcioleci na płytach gramofonowych.

Płyta gramofonowa tak zrosła się ze współczesnością jako niezbędny artykuł codziennej potrzeby, że trudno nam dziś obyć się bez niej. Równie trudno uświadomić sobie przyczyny, dla których fonograf **Thomasa Edisona** przed stu laty tak poruszył opinię całego świata. Tym trudniej, że obok techniki mechanicznego zapisu dźwięku, która pozostała domeną płyt gramofonowych, dysponujemy obecnie również techniką zapisu fotograficznego, a także zapisem magnetycznym na taśmie dźwiękowej. Przed stu laty nie znano jeszcze żadnej z tych możliwości utrwalania dźwięku. Wypowiadane słowo zamierało na ustach mówiącego i nikt nie był w stanie przywołać je ponownie.

Pierwsze pomyślne próby utrwalenia dźwięku związane były z konstrukcją pomocniczych przyrządów laboratoryjnych. Na progu XIX wieku po raz pierwszy dokonał tego **Thomas Young**. Przeprowadzone w roku 1807 doświadczenia Younga, zdumiewające w swej prostocie stały się kamieniem milowym w historii utrwalania dźwięku. Wybitny uczony angielski przymocował mianowicie lekki rysik do jednego z ramion widelek strojowych, a następnie dotykał nim okopconej powierzchni szklanego walca, wprawionego w ruch obrotowy. Drgające ramię kamertonu, na poczernionej sadzą powierzchni walca pozostawiało falisty ślad, doskonale widoczny gołym okiem. Ślad ten w postaci wężykowatej linii Young utrwalał następnie pokostem. Podobnie w roku 1830 **Wilhelm Eduard Weber** z Getyngi otrzymał ślady drgań kamertonu na powierzchni okopconej płytki szklanej. Jemu też niekiedy przypisywano pierwszeństwo w utrwaleniu wibracji ciała drgającego.

W późniejszych latach wracali do tej sprawy uczeni francuscy i niemieccy, posługując się w badaniach laboratoryjnych metodą Younga i Webera. Żadnemu z nich nie przyświecał cel zbudowania przyrządu, który mógłby utrwalać i odtwarzać dźwięki mowy ludzkiej. Pomysł taki zrodził się dopiero we Francji w drugiej połowie stulecia.

Istotnego udoskonalenia aparatu Thomasa Younga dokonał w roku 1857 młody pracownik drukarski, **Edouard Léon Scott z Martinville**, syn wynalazcy systemu stenografii. L. Scott chciał zbudować maszynę do dyktowania, przydatną w pracy zecerów. Opierając się na doświadczeniach W. E. Webera zbudował przyrząd, który oprócz części analogicznych do aparatu Younga posiadał elipsoidalną tubę, u węższego końca zamkniętą błoną z pęcherza zwierzęcego. Nie potrzeba już było przykładać drgającego kamertonu do okopconego walca, aby na nim uzyskać wężykowaty zapis dźwięku. Teraz można było mówić wprost do baniastej tuby, a rylec, przytwierdzony na zewnętrznej stronie membrany, kreślił delikatny, ale widoczny ślad jej drgań.

Przy pomocy swego przyrządu — wynalazca nazwał go fonautografem — próbował utrwalać głosy domowników. Spotkał się jednak ze sprzeciwem. Pionierskie jego poczynania przyjęło otoczenie jako zabawę nie licującą z powagą dojrzałego mężczyzny. Ale fonautografem L. Scotta zainteresował się wybitny fizyk francuski, **Jules Antoine Lissajous** i w pierwszych dniach stycznia 1858 roku wygłosił publiczny wykład o tym wynalazku. W trzy lata później L. Scott demonstrował swój aparat w Akademii Nauk w Paryżu, wobec grona najznakomitszych uczonych Francji. Nie zdołał jednak na tyle zainteresować dostojnego areopagu, by uzyskać oczekiwane poparcie i pomoc Akademii. Stracił też nadzieję na praktyczne wykorzystanie swego wynalazku. Zmarł w biedzie **w roku 1878, właśnie wtedy, gdy Thomas Edison uzyskał patent na fonograf**.

Fonautograf L. Scotta nie był dyktafonem, o czym marzył wynalazca. Nie posiadał bowiem możliwości odtwarzania dźwięku. Udoskonalony natomiast przez **Rudolfa Koeniga**, paryskiego producenta precyzyjnych przyrządów akustycznych, stał się doskonałym aparatem laboratoryjnym.

Od opisanych wydarzeń minęło prawie dwadzieścia lat, a sprawa utrwalania dźwięku, nurtująca L. Scotta, odżyła ponownie, także we Francji. Tym razem zainteresował się nią **Charles Cros**, umysł niepospolity, zdradzający bardzo różnorodne zainteresowania i rozległe horyzonty — uczony i poeta w jednej osobie. Z jego nazwiskiem związane jest teoretyczne rozwiązanie problemu odtwarzania dźwięków utrwalonych mechanicznie.

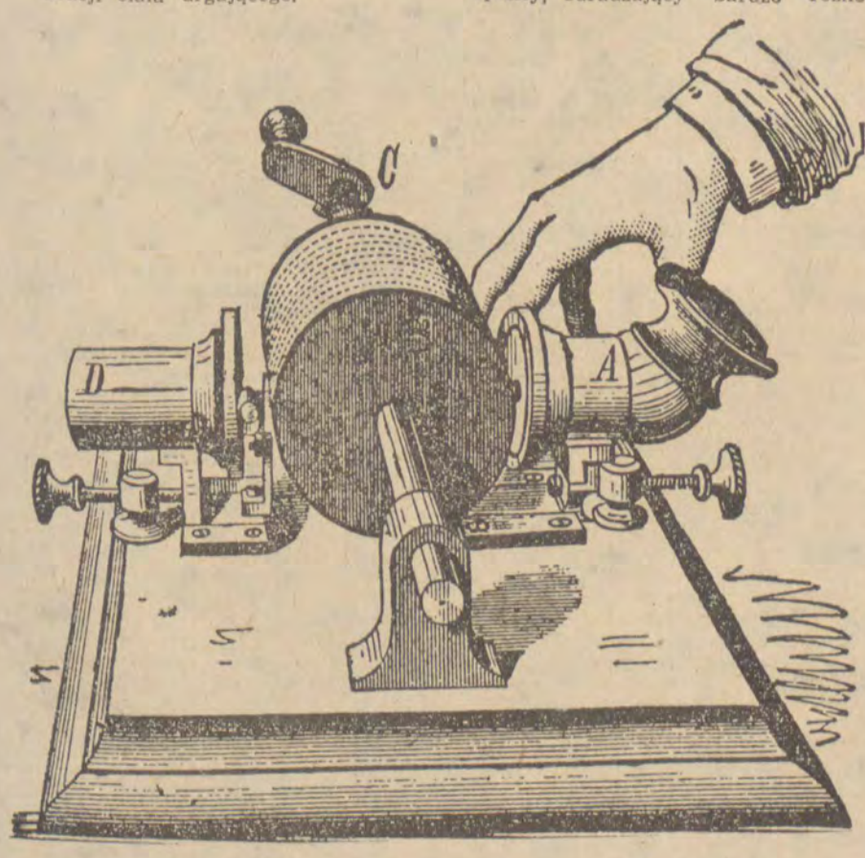

Fig. 204. Fonograf Edisona.

Było to 15 kwietnia 1877 roku. Ta właśnie data widnieje na memoriale, noszącym tytuł „**Proces utrwalania i odtwarzania zjawisk postrzeganych przy pomocy słuchu**", w którym wynalazca pisał o rowku żłobionym przez rylec pod wpływem drgań membrany. Rowek ten umożliwić miał odtwarzanie zapisanych dźwięków. Wynalazek swój nazwał Ch. Cros paleofonem. Wspomniany memoriał w zapieczętowanej kopercie wysłany został do Akademii Nauk w Paryżu, dokąd dotarł 30 kwietnia 1877 r. i przeleżał w depozycie przez kilka miesięcy. Ch. Cros miał wtedy 35 lat.

W październiku 1877 r. **Lenoir**, przyjaciel Ch. Crosa i popularyzator nauk przyrodniczych, opisał jego wynalazek w jednym z francuskich tygodników, nazywając ten przyrząd fonografem. Ostatecznie Ch. Cros zażądał otwarcia swego listu i publicznego odczytania na posiedzeniu Akademii Nauk, co nastąpiło w 5 grudnia 1877 r. Akademia, jak się wydaje, nie przywiązywała wielkiej wagi do treści memoriału Ch. Crosa, który podobnie jak jego poprzednik, daremnie oczekiwał na pomoc finansową dla zrealizowania swego pomysłu. W końcu grudnia 1877 r. prasa amerykańska podała wiadomość o fonografie, skonstruowanym przez **Thomasa Edisona.** W tymże roku **Thomas Alva Edison** ukończył właśnie 30 lat. Był posiadaczem szeregu patentów, dysponował dobrze wyposażonym laboratorium w Menlo Park, zatrudniał w nim własny personel, liczył się jako kontrahent poważnych przedsiębiorstw telekomunikacyjnych. Należał już do tej grupy ludzi, o których mówiło się i pisało w Stanach Zjednoczonych.

Pomysł „maszyny mówiącej" nasunął się **T. Edisonowi** prawdopodobnie zupełnie niezależnie od 70-letniej tradycji europejskiej w tej dziedzinie. W roku 1877 pracował nad usprawnieniem techniki przekazu depesz telegraficznych i nad udoskonaleniem telefonu, wynalezionego przed dwoma laty przez **A. G. Bella.** W wyniku prac podjętych na zlecenie Western Union powstał przesyłacz węglowy (mikrofon). Ale w trakcie tych poszukiwań pojawiły się u wynalazcy pierwsze objawy głuchoty. Sprawdzając skuteczność działania przesyłacza nie mógł więc polegać na wrażliwość przytępionego słuchu. Dla pokonania trudności, do membrany telefonu przymocował krótką igłę, sprawdzając amplitudę drgań membrany przy pomocy dotyku. Ukłucia igły w palec świadczyły o sile energii dźwiękowej, przenoszonej przez nowy przekaźnik. Podczas tych eksperymentów nasunął mu się pomysł, który miał stać się rozwiązaniem problemu nurtującego kiedyś L. Scotta, a obecnie Ch. Crosa. Pod datą **18 lipca 1877 roku** zapisał w swym podręcznym notatniku:

„Przeprowadziłem właśnie eksperyment z membraną, wyposażoną w ostro zakończoną igłę, ustawioną na szybko przesuwającym się papierze parafinowanym. Drgania mowy kreślą ładny ślad. Nie ma wątpliwości, że będę mógł w przyszłości doskonale utrwalać i automatycznie odtwarzać głos ludzki".

Etapy dalszego przebiegu prób i doświadczeń Edisona nad konstrukcją takiego przyrządu nie są bliżej znane. Intensywną pracę nad tym wynalazkiem, traktowanym jako niezbędne uzupełnienie telegrafu i telefonu, podjął Edison dopiero jesienią, przekazując do wykonania jednemu ze swych współpracowników, **Johnowi Kruesi**, wykonany odręcznie roboczy szkic przyrządu.

Pierwszy model fonografu T. Edisona niewiele różnił się od fonautografu Scotta. Jednym jego elementem była niewielka membrana metalowa ze sterczącym rylcem, umocowana nieruchomo na podstawie. Drugim zaś był walec metalowy, ułożony poziomo obok niej i osadzony na osi zakończonej korbką. Nagwintowana cś walca umieszczona została w gwintowanej panewce. Dzięki temu, przy kręceniu korbką walec nie tylko obracał się wokół własnej osi, ale powolnym ruchem przesuwał się wzdłuż niej. W jakim celu? Na powierzchni walca nacięty był rowek, również w postaci gwintu, o skoku równym skokowi gwintu na osi. Rylec zaś, osadzony na membranie

Fig. 203. Edison Tomasz.

umieszczony został dokładnie nad rowkiem gwintu na powierzchni walca. Jako nośnika zapisu wynalazca użył arkusza cienkiej folii metalowej, jakiej używa się dziś jeszcze do opakowania czekolady. W tym celu gładkim arkuszem folii owijał starannie walec. Pod wpływem drgań membrany, spowodowanych przez głos mówiącego, osadzony na niej rylec żłobił, a właściwie wygniatał w folii względnie trwałe ślady tych drgań. Utrwalony na folii zapis dźwięku pozwalał na odtworzenie zapisanego uprzednio nagrania przez ponowne poprowadzenie rylca po śladach wygniecionych w folii. Tym razem rylec pobudzał do drgań membranę, która wibrowała dokładnie w takt drgań, wyciśniętych na folio-wym arkuszu.

Thomas Edison nie był pewien końcowego wyniku prób z naszkicowanym przez siebie przyrządem. Z większym jeszcze sceptycyzmem odniósł się doń J. Kruesi, poinformowany o przeznaczeniu tego prostego urządzenia, które wykonał bez trudu w ciągu zaledwie trzydziestu godzin pracy. Wątpliwości jego podzielali i pozostali współpracownicy Edisona, którzy teraz zebrali się, aby obejrzeć przyniesiony właśnie, dziwny przyrząd. Wśród obecnych doszło do zakładu. W razie pomyślnego wyniku prób Edison miał od nich otrzymać pudełko cygar. W przeciwnym razie winien był wręczyć każdemu z nich taki sam upominek.

Thomas Edison starannie nałożył na walec gładki arkusz cynfolii. Obracając korbką, wyraźnym, donośnym głosem zaśpiewał fragment starej piosenki dziecięcej „Mary had a little lamb". Potem odtworzył to, co przed chwilą nagrał. Żaden z obecnych nie ukrywał swego zdumienia, gdy z małej puszki dźwiękowej popłynął głos. Cichy i jakby przytłumiony, ale przecież rozpoznawalny. Kruesi przegrał zakład wraz z pozostałymi kolegami. Ale zdumiony był też sam wynalazca. Przyznał potem, że „jeszcze nigdy w życiu nie był tak zaskoczony" pierwszą i od razu pomyślną próbą wynalazku.

Wkrótce **Thomas Edison** wybrał się w niedaleką podróż. Do redakcji „Scientific American" w New York City przybył z niewielkim zawiniątkiem. Rozpakował je na jednym z biurek redaktorskich i wydobył fonograf. Uważnie obejrzał wałek stwierdzając, że nawinięta na nim folia nie uległa w drodze uszkodzeniu. Niewiele przy tym mówiąc, zaczął kręcić korbą, otoczony dookoła przez dziesięciu zaciekawionych pracowników redakcji. Z niewielkiej maszyny sączył się z wolna niezbyt donośny, ale dostatecznie wyraźny głos. Fonograf zapytywał obecnych o zdrowie. Pytał też o wrażenia, jakie na nich wywarł. Zapewniał następnie, że sam czuje się doskonale, a w końcu życzył wszystkim dobrej nocy. Było to nagranie przygotowane uprzednio przez Edisona w Menlo Park.

24 grudnia 1877 r. wynalazca zgłosił wniosek patentowy. Niezwykle szybko, bo już 19 **lutego 1878 roku** stał się posiadaczem urzędowego patentu na fonograf. Przyrząd Edisona stał się przedmiotem wielkiej sensacji w Stanach Zjednoczonych.

Jest uderzające, że wynalazek Thomasa Edisona dziwnie zbiegł się w czasie z podobnymi próbami Charlesa Crosa. Osobliwością wczesnego okresu historii nagrań dźwiękowych jest i to także, iż tą samą nazwą określił swój przyrząd nie tylko Edison. Użył jej także Lenoir w stosunku do pomysłu Crosa. Z chronologii faktów wynika więc, że dwaj ludzie, Cros i Edison, na dwóch kontynentach, w tym samym roku podjęli pracę nad zbudowaniem przyrządu do mechanicznego utrwalania i odtwarzania dźwięku. Obaj przeto wynalazcy w równym stopniu dzielą zasługę pierwszeństwa. Cros za to, że był pierwszym, który teoretycznie opracował metodę zapisu dźwięku. Edison za to, że był pierwszym, który taki przyrząd zbudował i mógł utrwalać oraz odtwarzać dźwięki.

OBYCZAJE ZA GRANICĄ

DRUGA STRONA WIMBLEDONU

— **Wygrać Wimbledon, a potem umrzeć** — powiedział niegdyś legendarny Jean Borotra.

Jakież to dawne czasy. Ileż wody upłynęło od tamtych lat w Tamizie. Wygrać Wimbledon, tyleż to kiedyś znaczyło, co uzyskać Order Podwiązki z rąk Jej Królewskiej Mości. Tytuł do sławy. Tytuł do chwały. Więcej było zaszczytu niż profitu. Dziś dużo więcej jest profitu niż zaszczytu. Dziś na kortach Wimbledonu walczy się o tytuł, oczywiście, przede wszystkim walczy się o grubą forsę. Money, money, money... to jest właśnie to.

Tenis przekształcił się w rzemiosło. Przerodził się w profesję. Wszyscy mogą sobie pograć w tenisa, to jasne, ale szanse na wielkich turniejach mają tylko profesjonaliści, tej najwyższej światowej klasy. To tenisowa arystokracja. Współcześni gladiatorzy. Spotykają się na wszystkich liczących się kortach wszystkich kontynentów. Zawsze ci sami: Borg, Connors, Nastase, Godfried, Orantes, Evert... I zgarniają. Wszystko milionerzy. Jedni, jak Borg, o wielkiej dyscyplinie wewnętrznej i spartańskim trybie życia, inni, jak Connors czy Nastase, o bujnym temperamencie i szaleńczych wyskokach.

A zaczęło się wszystko od Lavera. Ten rudowłosy Australijczyk, jako pierwszy zawodowy tenisista obwieścił w 1971 roku o swym pierwszym milionie dolarów, utłuczonych niewielką piłeczką o wadze 58 gramów. To był sygnał. Do natarcia. Na dalsze miliony. Słynny Ash oświadczył niedawno z rozbrajającym uśmiechem: — **Już od dawna nie gramy o trofea, gramy o zielone papierki.**

Najdłużej trzymał się właśnie Wimbledon. To była jedna z ostatnich twierdz konserwatywnej arystokracji angielskiej. Money? Ależ, to by było „shocking". O pieniądzach na korcie tenisowym się nie mówi.

Turniej wimbledoński urządza „All England Lawn Tennis Club". To szacowna instytucja. Z wielkimi tradycjami. Rygorystyczna. Do tego elitarnego klubu należą lordowie, marszałkowie lotnictwa, pułkownicy i generałowie. Śmietanka. Hermetycznie zamknięta. Klub liczy 400 członków. Nigdy mniej. Nigdy więcej. Ta ilość jest sztywna. Dopiero jak ktoś z członków tego klubu odejdzie w zaświaty, przyjmuje się nowego kandydata.

Jeszcze w latach sześćdziesiątych ani się angielskim lordom śniło oddawać wimbledońskie korty w pacht profesjonalistom. Gladiatorzy? To dobre dla mas. Nigdy. To by było w złym guście. I w złym smaku. To by przeczyło starym angielskim zasadom o szlachetnej sportowej rywalizacji w imię wyższych celów moralnych. Wiadomo jacy są Anglicy. Nie znoszą zmian. Ma być jak jest. Jeśli autobus numer 52 jeździł na Bond-Street przed 30 laty, to jeździ nią również dzisiaj i będzie nią jeździł tak długo, jak długo istnieć będzie ta ulica. Żadnych reorganizacji. Żadnych innowacji. Dobrze jest jak jest.

Zaczęło się wszystko od Hunta. Tak, zaczęło się od tego amerykańskiego finansisty, który porobił miliardy na teksaskiej ropie. To Hunt pierwszy wyciągnął ten cukierek. Przynęta chwyciła. To Hunt założył przedsiębiorstwo pod firmą „World Championship Tennis", w skrócie „WCT". Wkrótce potem pojawił się konkurent „World Team Tennis", w skrócie „WTT". To normalne firmy. Właściwie towarzystwa akcyjne, które kupują tenisistów jak kupuje się futbolistów.

Czy turnieje tenisowe są tak dochodowe jak futbolowe? Nie. Skądże. Każdy duży turniej zawodowych tenisistów jest dotowany. Z kasy prywatnych przedsiębiorstw. Te dotacje sięgają w tym roku po sto tysięcy dolarów na każdy większy turniej. Kto za tym stoi? Wielkie koncerny, które żyją z reklamy jak ryba z wody. „Tenisowym interesem" trzęsie potężny amerykański koncern kosmetyczny „Colgate" i ogromny koncern ubezpieczeniowy „Commercial Union Sponsor". Tak to wygląda od podszewki. Takie są kulisy wielkich turniejów. Tego w Wimbledonie również.

W tym roku było w Wimbledonie do wygrania trzysta tysięcy dolarów. Szwed Borg zarobił pierwszych piętnaście tysięcy szwedzkich koron, gdy miał piętnaście lat. Po pięciu latach zarobił przeszło dwa miliony dolarów. I wciąż zgarnia. Zresztą jego sprawa. Zgarnia nie tyle rakietą, ale tym co reklamuje. Za to mu się płaci. Za reklamę usług i towarów, więc za propagowanie biznesu wielkich koncernów. Niedawno Borg zmienił barwy. Opuścił „WCT", przeszedł do „WTT". Przeszedł dlatego, że „WTT" gwarantuje mu zrobienie przy siatce pół miliona dolarów w ciągu trzynastu tygodni.

JAN BĄBIŃSKI

DOŚWIADCZENIA

JAN BĄBIŃSKI

ZRÓB to SAM

Zauważyłem kiedyś w sklepie radiowym naprzeciw „Magdy" przy Piotrkowskiej krótki napis: **„Stoisko zamknięte z powodu braku sprzedawców".** Bardzo mi się ten napis podobał. Żadna tam choroba personelu i te inne kłamstewka, tylko kawa na ławę. Obawiam się, że podobnych napisów nam przybędzie. Nie tylko w sklepach, lecz też w usługach. Będzie trudno. O tyle jest to niezrozumiałe, że w każdej niemal fabryce istnieje zjawisko zwane „zatrudnieniem socjalnym".

Cóż to takiego?

Zatrudnienie socjalne to spore grupy pracownicze, których kierownictwo chętnie by się pozbyło chociażby już dziś. I dało im jeszcze premie na pożegnanie. To ludzie starsi o nie najlepszym zdrowiu i słabym refleksie. To ludzie młodzi, którzy wskutek wrodzonych niekiedy ułomności przy szybkich, nowoczesnych liniach produkcyjnych egzaminu nie zdają. Nigdy go nie zdadzą. Ta bariera jest dla nich za wysoka.

Co z tymi ludźmi zrobić? Pozwalniać?

Nie da rady. To by była decyzja nieopatrzna. Nie ma podstaw prawnych. Pozwalniać zresztą **nie wolno ze względów społecznych i socjalnych właśnie.** Stąd termin — „socjalne zatrudnienie". Niech ci ludzie coś tam robią, przy czymś dłubią. Byle nie przeszkadzali. Z czegoś przecież muszą żyć. Poza tym, jak ktoś próbuje zwolnić złego pracownika, napotyka od razu na cały mur dobrych wujaszków. Co innego dobry pracownik. Takiego nikt na ogół nie broni. Po co? Przecież on i tak sobie gdzie indziej poradzi.

Wyjście z tej nader kłopotliwej sytuacji byłoby jedno. **Skierować drogą perswazji wszystkich tych ludzi, którzy przy automatach zawodzą, jest ich w Łodzi kilkanaście tysięcy, do usług, do handlu, głównie jednak z uwagi na nabyte doświadczenie, do placówek naprawczych.** Nie takie jednak to łatwe. Na siłę przesunąć się nie da. Dobrowolnie nie każdy chce.

Dość, że trzeba będzie „wiele jeszcze pożegnać obrotów Księżyca" nim w każdej dzielnicy znajdzie się dostatecznie dużo hydraulików czy tapicerów. To potrwa. Nie łudźmy się. To potrwa nawet długo. „Usługowców" brak. Ci, którzy są, tacy zaczynają być ważni jakby świadczyli nie usługi tylko przysługi. Cóż, co rzadkie jest wszędzie w cenie. Z tego właśnie powodu warto zatrzymać się przy Brytyjczykach.

Na brytyjskich wyspach od pewnego czasu nabiera rozmachu ruch zwany **„do it yourself".** Zrób to sam. Ekonomiści tłumaczą to krótko i dobitnie. Ceny rosną w Anglii średnio o 15 proc. rocznie. Taka jest stopa inflacji, Zarobki też rosną, to jasne, ale za wzrostem cen nie zawsze mimo wszystko nadążają. Zwłaszcza nie nadążają za wzrostem cen w usługach. Te pożyce w tym wypadku są rozwarte. I to szeroko.

Porównajmy. Wykwalifikowany robotnik zarabia dziś średnio 200—240 funtzw miesięcznie. Prawie dwukrotnie mniej niż w RFN. Gdy natomiast zaprosi się do domu instalatora, by naprawił „centralne", to trzeba płacić za tę usługę 6 funtów od godziny. Tam obowiązują stawki godzinowe. Malarz bierze 4 funty od godziny, elektryk 6 funtów. Nie taką by trzeba rozporządzać kieszenią, by wszystkie te wydatki opędzić bez zachwiania domowym budżetem.

Jeszcze naprawy samochodowe. Nikt im nigdzie i nigdy nie ujdzie, kto dotknął ręką tego rdzewiejącego pudła na czterech kołach, które ni z tego ni z owego potrafi się rozkraczyć na samym skrzyżowaniu, jak ta stara klacz. A wtedy żaden bat nie pomoże. Trzeba bulić. Żywą gotówką. Jeszcze te wszystkie roboty przy domku jednorodzinnym. Przecież 70 proc. budownictwa mieszkaniowego w Anglii to właśnie „jednorodzinniaki". Nie miała baba kłopotu. No właśnie. Furtka nie działa. Płot się przewrócił. Piwnicę zalało. Dach zaczyna przeciekać. Okna się nie domykają. Przy domku familijnym, jak przy samochodzie, ciągle coś się psuje. Wciąż coś jest do naprawienia, do odnowienia, do odświeżenia. Kto przebywał na wyspach Jej Królewskiej Mości, wie, jak to wygląda i czym to pachnie.

W sobotę, kiedy rozpoczyna się weekend, pan domu bierze się raźnie do roboty. Wpierw grzebie w ogródku. Przycina trawkę. Wyrównuje żywopłot. Potem obchodzi domek dokoła. Tu coś doklei, tam przemaluje, ówdzie umocni. Profilaktycznie. W końcu bierze się za stolarkę, za tapicerkę, przekształca się nieoczekiwanie w elektryka, montera i domowego ślusarza. Znakomicie sobie radzi z naprawą gazowej kuchenki. Potrafi odwalić solidny kawał rzemieślniczej roboty. Chciałoby się wtedy krzyknąć — ależ to złote rączki.

Te rączki, jeśli nawet są złote, to świetnie prócz tego są wyposażone. Wielki dom towarowy „Selfridge's" w Londynie prowadzi ogromny dział majsterkowania. Na półkach leżą całe komplety narzędzi, całe góry sprzętu o wyspecjalizowanym charakterze. Ten zestaw jest przeznaczony dla tapicerów-amatorów, tamten dla auto-naprawiaczy. Mnóstwo tego leży. Dla każdego coś przydatnego. Mechaniczne piły, lutownice, niewielkie nawet obrabiarki. Tylko kupować. Przeszkód nie ma.

Ruch **„do it yourself"** przekształcił się w Anglii w ogromną falę, która zalewa cały kraj. Ukazało się mnóstwo tygodników, kolorowych magazynów i wiele też wydań broszurowych, z których każdy może się dowiedzieć jak „to" się robi u siebie w domu. Proszę mi wierzyć, wymalowanie mieszkania czy położenie tapety nie wymaga żadnych jakichś niezwykłych uzdolnień. W Londynie pokoje tapetują kobiety. Robią to z dużym gustem i wielkim smakiem. Gotowych firanek już nie kupują. Nabywa się tkaninę z metra i szyje się firanki Bo wtedy jest to dwukrotnie tańsze.

W Londynie pędzą też od pewnego czasu piwo po domach. **„Brewit-yourself".** Wolno. Takie tam prawa, że władza nie przeszkadza. Komplet instalacji do pędzenia piwa można nabyć w każdym większym domu towarowym. W Londynie warzą piwo w domu, bo Anglik bez piwa to jak Góral bez żytniej. Trudno się obyć. A że alkohole w „pubach" horrendalnie podrożały, więc naród poszedł po rozum do głowy i pędzi piwo domowym sposobem. Ukazało się już nawet piwo w proszku. Podlejesz, odczekasz, wymieszasz i dawaj, byle zdrowie dopisało.

Jestem dla Brytyjczyków z pełnym szacunkiem. Wpadli w tarapaty. Mają ogromne trudności Usiłują je przezwyciężyć. Nie stać ich na duże wydatki, więc co mogą robią sami. Żeby było właśnie taniej. Tam robią to z konieczności. My moglibyśmy to robić z wyboru. **Zróbmy to sami. Otwórzmy ten drugi niejako front w usługowej batalii.** Zaatakujmy brak usług od naszej domowej też strony. Czy nie możemy w pewnych wypadkach sami wyręczyć malarzy, tapicerów i tapeciarzy?

Zróbmy to sami. Wtedy odciążymy te wszystkie placówki usługowe, które dają już wielomiesięczne terminy. Prócz tego podreperujemy budżet domowy. To też nie jest bez znaczenia. Także u nas usługi są drogie. Wprawdzie znajdujemy się w wieku ufności, nic jednak na to nie wskazuje, by usługi miały w przyszłości stanieć. Raczej zapomnijmy o tym. Zrób to sam. Do dzieła, kto ma żyłkę, zdrowie i trochę wolnego czasu.

Opowiadał mi niedawno jeden z szefów łódzkiego „Polmozbytu", że wrócił z objazdu czeskich placówek podobnego typu z mieszanymi uczuciami. Stacji naprawczych jest tam mniej, choć samochodów trzykrotnie więcej. Otóż Czesi mają już tę żyłkę. Mają te uzdolnienia. To naród o ogromnych możliwościach technicznych. Kiedy oni wypuszczali pierwsze „skody", to myśmy jeszcze nawet rowerów nie produkowali. Czesi robią to sami. Te drobniejsze naprawy samochodowe wykonują we własnych garażach. Do stacji naprawczych jeżdżą w ostateczności. I bardzo niechętnie.

Świetnie. A co z narzędziami na ten „drugi usługowy front"? Co z wyposażeniem dla domowych rzemieślników? Przepraszam, ale nie mnie powinna o to boleć głowa.

ŻYCIORYSY

NIKIFOR

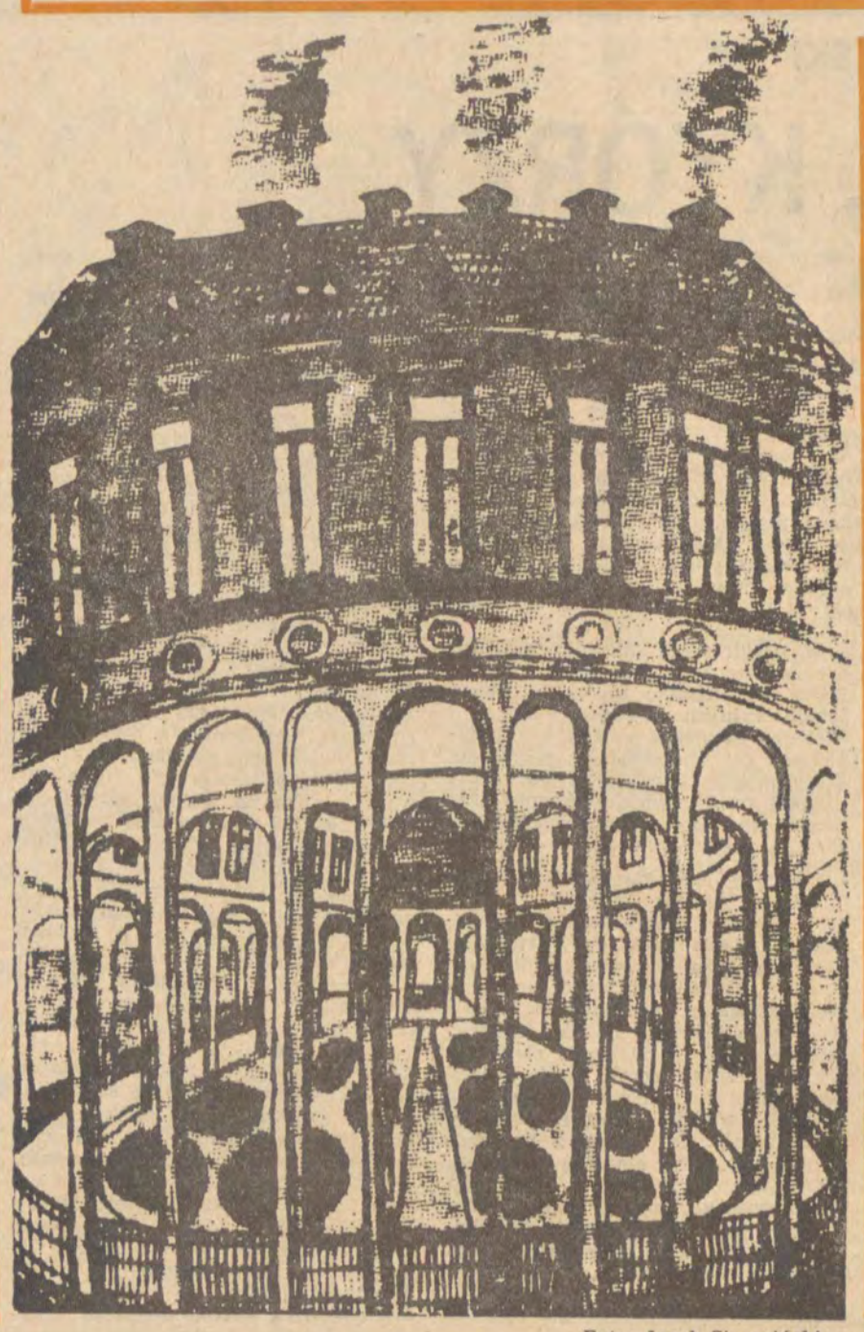

Foto: Jacek Sierociński

Dalszy ciąg ze str. 1

Nikifor życie samotnika. Nielekkie. Niemota utrudniała mu kontakt z ludźmi. Wielu miało go za przygłupka. Próbował pracy fizycznej, przy ciesiołce, bo o tę w górach najłatwiej, a chłop był z niego nie ułomek. Ale rzucił tę robotę, nie odpowiadała mu. Nie z lenistwa, broń boże! Był demonem pracowitości. Rysując i malując, nie odrywał się od pracy, od wschodu do zachodu słońca. Jak rolnik w polu.

Malarstwo przynosiło mu już przed wojną sporadyczne, niewielkie dochody. Na życie potrzebował zresztą mało. Mieszkał kątem, gdzie popadło, jadł byle jak i byle co. Najdawniejsze jego prace malarskie pochodziły sprzed 1920 roku i wykonywane były na odwrocie urzędowych druków austriackich. **Muzeum nowosądeckie,** obecnie posiadacz największej chyba, bo liczącej ok. trzystu sztuk, kolekcji „nikiforów", pierwszych zakupów dokonywało **już około 1929 roku,** kiedy samorodnego artysty nikt jeszcze nie „odkrył".

Pierwsza publikacja o Nikiforze ukazała się w 1938 roku w czasopiśmie „Arkady". Autor, **Jerzy Wolff,** artysta malarz i krytyk plastyczny zbliżony do krakowskiej grupy kapistów, podziwiał harmonię barw występującą w dziełach krynickiego niemowy, porównywał Nikifora z Utrillem i celnikiem Rousseau.

3.

Nikifor nie czytał artykułu Jerzego Wolffa z tej prostej przyczyny, że czytać nie umiał. Żył w duchowej seperacji od ludzi, zatopiony w swoim własnym świecie wyobraźni. Zupełny brak wykształcenia i pozorny niedorozwój nie były w stanie zubożyć tego świata. Wszystkie tłumione w sobie, nie wypowiedziane treści, obserwacje gromadzone w ciągu dziesięcioleci, a w równej mierze archetypy i elementy klechd ludowych zsumowały się w tym jedynym w swoim rodzaju malarstwie.

Jednolity styl obrazów **Nikifora** uwidaczniał się w porządku symetrycznym i świetnej kompozycji. Perspektywa zbiega się u niego z reguły w środku rysunku z dużą precyzją. Za temat i inspirację służyła mu najczęściej Krynica, którą kochał tak, że poza nią nie wyobrażał sobie dla siebie życia. Domy, wille, pensjonaty, łazienki przenosił **Nikifor** na papier, jak konstruktor. Na ogół nie szkicował na wstępie kształtu całej bryły architektonicznej, ale wychodził od dowolnie wybranego detalu i nabudowywał stopniowo dalsze elementy. Czasem postępował przy tym, jak budowniczy, posuwając się od podstawy aż po dach, innym razem zaczynał od szczytu, na przykład od wieżyczki lub komina, zmierzając ku fundamentom. Nigdy nie zdarzyło się, by tak konstruowana budowla nie zmieściła mu się na papierze. Z pewnością opanował po mistrzowsku operowanie kolorem. W stężeniach barw i bogatych gamach odcieni wyrażała się głębia jego fantazji. Potrafił również rozświetlać kolory, nadawać im ciepłe tony.

Rysował najczęściej z pamięci, rzadziej spoglądając bezpośrednio na model. Wprowadzało to do jego pejzaży elementy własnej wyobraźni, które wypełniały luki i przeobrażały jego obrazy w swoiste „wariacje na temat", nie będące kopiowaniem fragmentów natury, lecz ich specyficzną transformacją.

W ten sposób rodziła się trudna do określenia słowami własna **poetyka Nikifora.** Swój świat zaludniał sylwetkami kobiet i mężczyzn, zwykłymi śmiertelnikami, albo diabłami, aniołami, czy świętymi o głowach zwieńczonych aureolą. Pozornie nieudolne figury i fizjonomie zdają się wyrażać jakąś znaną tylko artyście tajemnicę.

4.

Obawiam się, że jako laik nie dość uczenie, albo zbyt po literacku omawiam to malarstwo. Doskonalej zrobili to przede mną inni. Pisał o nim po wojnie na łamach „Przekroju" **Konstanty Ildefons Gałczyński,** pisał **Julek Kydryński,** a przede wszystkim **Andrzej Banach,** „papież nikiforologów", który wylansował naiwnego artystę w kraju i za granicą.

Zainteresowanie **Nikiforem** stopniowo rosło. Jeszcze w pierwszych latach po wojnie siadywał na murku przy ul. Pułaskiego i oferował przechodniom swoje rysunki za grosze, co dla niektórych miało znamiona jałmużny. Dopiero w końcu lat pięćdziesiątych roztoczono nad artystą troskliwą opiekę. Wyznaczono mu kuratora z urzędu, wynajęto mieszkanie i pomieszczenie na pracownię malarską.

Gdy w **marcu 1968 roku,** na niewiele miesięcy przed jego śmiercią, odwiedziłem **Nikifora,** życie jego było ustabilizowane. Stworzono mu ludzkie warunki bytowania i pracy twórczej. Z tej drugiej zdobyczy korzystał w pełni. Żył natomiast nadal skromnie, choć w kilku książeczkach PKO otwartych na jego nazwisko stan oszczędności sięgał sum rzędu kilkuset tysięcy złotych.

Od 1949 roku organizowane były **wystawy jego prac,** m. in. w Krakowie, w Paryżu (1959), w galerii Hägerstens Konstförening w Sztokholmie (1966), gdzie zgromadzono 107 „nikiforów" i wydano piękny katalog, w warszawskiej „Zachęcie" (1967) — największa z dotychczasowych ekspozycji, a także w Belgii, Holandii, Stanach Zjednoczonych. **W 1956 r. reżyser Jan Łomnicki nakręcił pierwszy film o Nikiforze.** W 1967 r. ukończył piękny barwny film o jego malarstwie **Tadeusz Stefanek** z łódzkiej WFO.

Właśnie z T. Stefankiem odwiedziliśmy Nikifora w jego pracowni przy ul. Kraszewskiego. Mogliśmy uczestniczyć w wielkim misterium, w jedynej radości, jaką Nikifor poznał w swoim trudnym życiu: radości tworzenia. Starzec siedział przy stole i rysował z pasją, jakby tocząc uparty wyścig z płynącym nieubłaganie czasem. Nie przerywając sobie, mruczał coś chwilami pod naszym adresem. Marian Włosiński spełniał jakby rolę tłumacza, on jeden bowiem potrafił zrozumieć mowę Nikifora.

— Staram się jak umiem, żeby mu wynagrodzić dawną biedę — mówił nam opiekun artysty. — **Dbam, by mu niczego nie brakowało. Ale cóż poradzić na to, że jego potrzeby są tak niewielkie?**

Jedynym **luksusem w domu Nikifora** był telewizor i kilka radioodbiorników tranzystorowych, które z uwagi na zły słuch puszczał na pełny regulator. Wkrótce po nas odwiedziła krynickiego artystę, będąca wówczas u szczytu popularności łódzka grupa skiflowa **„No to co".** Chłopcy zaimprowizowali w pracowni koncert, który nagrali później na płytę pod nazwą **„Nikifor".** Staremu musieli się młodzi piosenkarze spodobać, skoro na zakończenie sam zaczął śpiewać. Nigdy dotąd nikt nie słyszał jego śpiewu. Może przemówiła przez niego pogoda ostatnich lat życia, która nastąpiła po długich latach poniewierki?

5.

— W początkach października 1968 roku — opowiada Marian Włosiński, którego odwiedzam w 9 lat później w willi „Iwonka" przy Starej Drodze — **stan zdrowia Nikifora pogorszył się gwałtownie. Od lat cierpiał na zadawnioną gruźlicę. Zawiozłem go do sanatorium w Foluszu koło Krosna, gdzie kurował się już parokrotnie. Ledwie wróciłem do Krynicy, a już nadeszła depesza, wzywająca mnie z powrotem do Folusza. Nikifor zmarł 10 października 1968 r. Pozostawił po sobie co najmniej kilkadziesiąt tysięcy obrazków i rysunków. Dla mnie, który znałem go blisko, zakończył się najpiękniejszy okres życia.**

Żegnam się z Marianem Włosińskim. Pozostaje jeszcze złożyć kilka kwiatków na płycie nagrobkowej Nikifora. I chwila refleksji nad losem człowieka i artysty...

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

MILIONER W LAS VEGAS

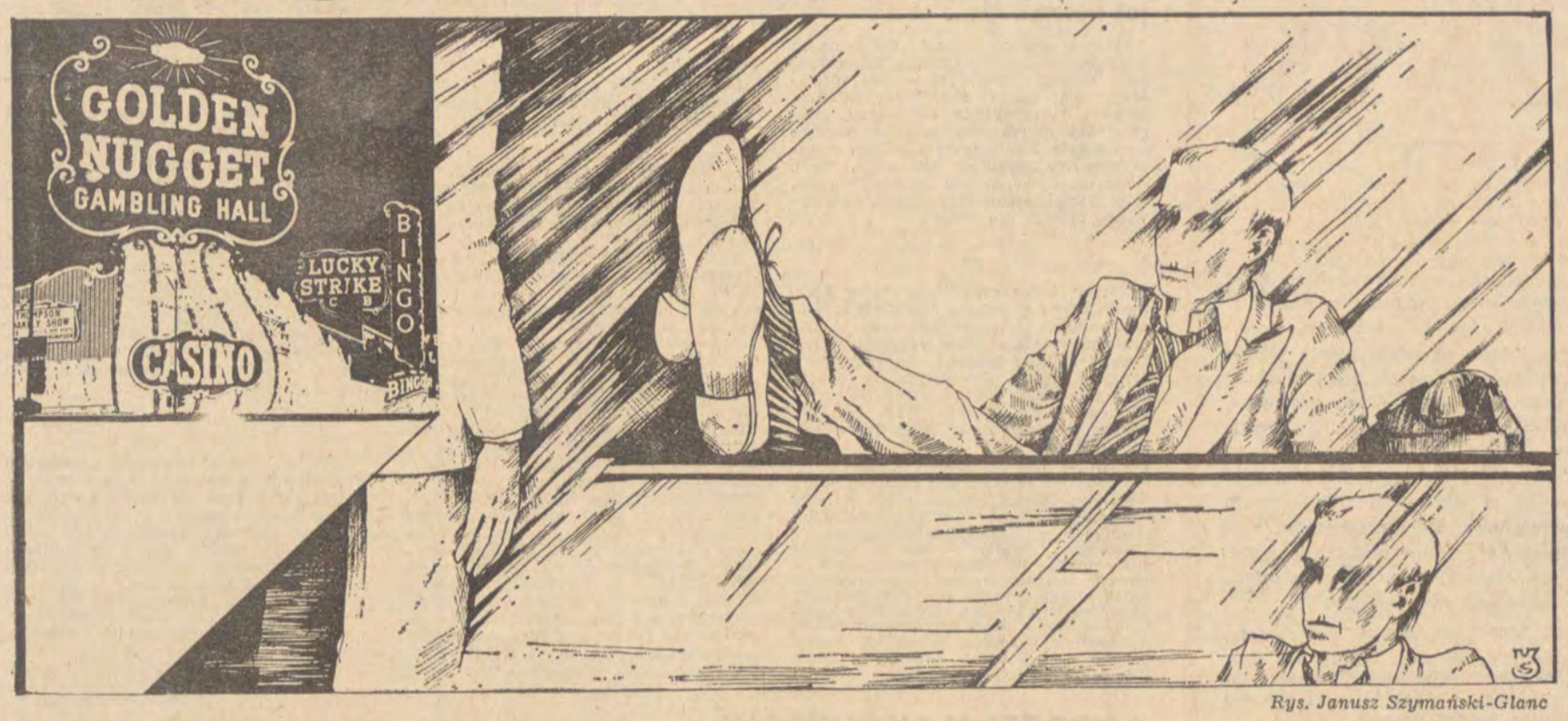

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Osoba zmarłego w roku 1976 miliardera — dziwaka Howarda Hughesa budzi nadal szerokie zainteresowanie. SUNDAY TIMES opublikował artykuł poświęcony działalności Hughesa w Las Vegas. Ilustruje on zarówno geniusz finansisty, jak i stosunki panujące w USA.

Na krótko przed godziną 5 rano w niedzielę, 27 listopada 1966 r., pociąg składający się z trzech wagonów i lokomotywy, wypożyczony od Union Pacific Railroad Company zatrzymał się na skrzyżowaniu na pustyni Nevada, 5 mil na północ od Las Vegas. Czekały tam dwa samochody, mała ciężarówka i Ford „Combi", który mógł również, w razie konieczności, być użyty jako karetka pogotowia. Spotkanie wyznaczone zostało tak, aby w pobliżu nie było osób postronnych.

15 minut później kawalkada samochodów zatrzymała się przy głównym wejściu do kasyna i hotelu Desert Inn. Wcześni uczestnicy gier hazardowych nie zwrócili uwagi na nowo przybyłych, którzy przeszli przez hall do wind. Wjechali oni następnie na dziewiąte piętro, gdzie poczyniono wcześniej potajemne przygotowania. Zainstalowano tam telewizję kablową i oczyszczacz wody, jak również biurko o niezwykłych rozmiarach i wzmocniony system telefoniczny. Na windach i drzwiach pożarowych znajdowały się nowe zamki, które zabezpieczyć miały mieszkańców piętra przed przybyciem nieoczekiwanych gości. Mimo tych środków ostrożności fakt, że Howard Hughes zamieszkał w mieście hazardu, nie był tajemnicą przez zbyt długi czas. Większość czołowych obywateli Las Vegas przyjęło tę wiadomość z entuzjazmem. Wyjątkiem był Berney „Dalitz", posiadacz większości akcji Desert Inn.

Dalitz, którego barwna przeszłość obejmowała m. in. oskarżenie o przemyt alkoholu w czasach prohibicji i połączenia z mafią, był bardzo rozgniewany, kiedy dowiedział się, że jego równie „barwni" koledzy pozwolili Hughesowi zająć całe dziewiąte piętro, które było umeblowane luksusowo, aby przyciągnąć bogaczy, a nie żebraków. Dalitz powiedział, że pobyt Howarda Hughesa kosztuje jego kasyno prawie 5 tys. dolarów dziennie gdyż takiej wysokości dochody traci i kiedy po świętach Bożego Narodzenia Hughes nie przejawił ochoty na wyprowadzenie się Dalitz bez porozumienia z lokatorem podniósł czynsz o tę sumę. Jednakże Hovard Hughes nie opuścił swej siedziby. Jego ciągła obecność w Desert Inn spowodowała poważne rozbieżności między Dalitzem a jego partnerami i Hughes zdecydował się wykorzystać to, wyrażając chęć zakupienia hotelu. Dalitz powiedział, że się zgadza za sumę około 14,75 mln dolarów.

Plan Hovarda Hughesa

Robert Maheu, prawa ręka Hovarda Hughesa, prowadził negocjacje, jednakże ograniczony był instrukcjami Hughesa nakazującymi mu „urwanie" 250 tys dolarów z sumy zaproponowanej przez Dalitza. Udało mu się to i dobrą wiadomość przekazał na dziewiąte piętro.

— **Myślałem, że zrobiłem dobrą robotę** — powiedział Maheu — **ale on powiedział: „wracaj i spróbuj urwać następne ćwierć miliona"**

I znów Maheu powiodło się, jednakże Hughes raz jeszcze nakazał mu spróbować obniżyć cenę. Ostatecznie ustalono cenę na 13 mln dolarów. W ostatniej chwili Hughes próbował wycofać się, ale kiedy Dalitz zagroził, że zaatakuje dziewiąte piętro i wyrzuci Hughesa, nie pozostawało nic innego, jak podpisać umowę.

Miejscowe władze były zachwycone, sądząc, że Hovard Hughes jest człowiekiem, który potrafi „postawić na nogi" Las Vegas. Niezbędne licencje na prowadzenie gier hazardowych zostały wydane bez żadnych zwykłych formalności. Niestety, „stawianie na nogi" nie mogło rozpocząć się natychmiast. Nikt w imperium Hughesa nie wiedział nic o byznesie hazardowym, Hughes zmuszony był więc poszukać ekspertów. Maheu zatrudnił Dalitza, który zgłosił gotowość wykonywania pracy za darmo: powiedział, że właściwie nie potrzebuje pieniędzy.

Chociaż wejście Hughesa do biznesu było dziwaczne, wkrótce stało się jasne, że postanowił on potraktować hazard i Las Vegas bardzo poważnie. Frank Sinatra, który znany był z patriarchalnego spojrzenia na miasto zażartował kiedyś:

— **Dziwicie się pewnie dlaczego nie mam w ręku drinka** — powiedział widzom w Sands Hotel. — **Hovard Hughes kupił go.**

Wkrótce potem Hughes kupił także Sands Hotel i ostatecznie posiadał siedem hoteli i kasyn, będąc największym prywatnym pracodawcą w stanie Nevada.

Jednak wykupienie sporej części Las Vegas było widocznie jedynie pierwszym krokiem na drodze do realizacji znacznie poważniejszego planu. Oglądane z ostatniego piętra Desert Inn Las Vegas wydawało się być czymś więcej niż oazą na pustyni i o raczej spektularnej wulgarności. Dla Hughesa było ono bramą do zachodnich Stanów Zjednoczonych. Hughes dostrzegał w nim oczyma wyobraźni, „najbardziej kompletny kompleks wakacyjny i wypoczynkowy na świecie", a jednocześnie „Ośrodek badań naukowych i przemysłu ery kosmicznej" z nowym portem lotniczym, który jako pierwszy w świecie przyjmowałby samoloty ponaddźwiękowe.

Hovard Hughes nie był oczywiście pierwszym człowiekiem, który patrzył w dół na miasto i snuł absurdalne plany przekształcenia jego całej przyszłości. „Mistrzowski" plan Hughesa był dlatego tak słynny, że wielu ludzi, którzy powinni lepiej znać się na rzeczy, wierzyło w niego, przynajmniej przez jakiś czas. Jednym z tych ludzi był Hang Greenspun, wydawca czasopisma SUN, który posunął się tak daleko, że porównał Hughesa z Izaakiem Newtonem, i to na niekorzyść tego ostatniego. Z Hughesem, zamieszkującym w Desert Inn, pisał Greenspun, **„myślącym i pracującym w świadomie wybranej izolacji"** nic nie może przeszkodzić Nevadzie w przekształceniu się z jednego z najsłabiej zaludnionych i najmniej znaczących stanów amerykańskich w jeden z największych i najwspanialszych w kraju. Ten właśnie rodzaj ekstrawaganckich nonsensów, w połączeniu z przychylnymi przepowiedniami gubernatora Nevady i izby handlu podsycany był przez Hughesa, który od czasu do czasu pisał artykuły ukazujące się w miejscowych pismach.

Puste obietnice

Howard Hughes przyrzekł miastu szybki rozwój przemysłowy mówiąc, że nie widzi powodu, dla którego Las Vegas nie miałoby rozrosnąć się do rozmiarów Houston w Texasie. (W tym celu musiałoby się ono zwiększyć dziesięciokrotnie). Obietnice nie zostały spełnione. Ostatecznie Hughes opuścił Las Vegas w tajemnicy, pozostawiając miasto równie odizolowanym i nieurodzajnym, jak było przed jego przybyciem tam. W ciągu 4 lat jego pobytu jedyną rzeczą którą zbudował był dom dla Roberta Maheu o wartości 300 tys. dolarów.

Nie można jednak powiedzieć, że Howard Hughes prowadził swoje sprawy bez myśli przewodniej i rozsądku. Dokumenty świadczą, że jego plan, dotyczący rozbudowy Las Vegas, składał się z ciągle aktualnej instrukcji dla Maheu nakazującej pozyskanie niemalże każdego rodzaju byznesu, jaki tylko istniał. Przy tym Hughes nigdy nie był zbyt drobiazgowy jeśli chodzi o etykę zawodową.

W styczniu 1968 r. Howard Hughes napisał do prasy, ogłaszając, że ma zamiar zbudować nowy hotel za sumę 150 mln dolarów. 40 lub 50-piętrowy budynek miał mieścić 4 tys. sypialni i wiele dodatkowych pomieszczeń. „Moi goście musieliby bardzo się starać, gdyby chcieli choć trochę się nudzić" — napisał Hughes. „Mam nadzieję, że hotel ten będzie czymś zupełnie wyjątkowym i nieznanym, czymś, czego nikt jeszcze nie widział, miastem samym w sobie".

Zgodnie z wypowiedzią Boba Maheu, zapowiedź ta była jednym wielkim kłamstwem, wymyślonym w celu zwalczenia konkurencji. Konkurencję, która ciągle spędzała Hughesowi sen z powiek, stanowił przede wszystkim inny przedsiębiorca, równie nie przebierający w środkach, jak Hughes, o nazwisku Krik Kerkorian. Był on synem handlarza owocami pochodzenia armeńskiego. Kerkorian zdobył swoją 90-milionową fortunę dzięki rozbudowie charterowej linii lotniczej. Był właśnie w trakcie inwestowania całej sumy w Las Vegas.

Wygrał on już wcześniej z Howardem Hughesem przetarg na kasyno, a w 1968 roku zamierzał zadać swemu rywalowi ciężki cios poprzez budowę nowego hotelu-kasyna o nazwie International, który byłby największym i najkosztowniejszym kompleksem hazardowym w Las Vegas. Zagrożenie dla Hughesa polegało na tym, że International stanąłby między jego kasynami a portem lotniczym i dlatego „kradłby" Hughesowi klientów. Z tego też powodu Hughes wymyślił swój własny nowy hotel. Maheu powiedział później:

— **Hughes sądził, że jeśli ogłosi budowę swojego hotelu, uniemożliwi Kerkorianowi zdobycie niezbędnych środków finansowych. Spisek nie udał się i Hughes musiał ogłosić przesunięcie terminu rozpoczęcia budowy swojego hotelu.**

Następnie Hughes próbował przekonać Kerkoriana, że International może zawalić się z powodu prób z bronią jądrową przeprowadzanych przez rząd amerykański na pustyni Nevada. Kiedy i ta sztuczka nie udała się, wystąpił on z dziwnym planem, który zakładał kupienie istniejącego już kasyna i przekazanie go Kerkorianowi w zamian za obietnice porzucenia projektu budowy International. Kerkorian oparł się wszystkim tym machinacjom: praca nad budową International postępowała naprzód. Hughes uznał, że pozostaje mu tylko jedno wyjście: jeśli nie może pobić Kerkoriana, będzie musiał się z nim połączyć.

Naprzeciw miejsca budowy International stał „kłopotliwy obiekt" Las Vegas, 31-piętrowy Landmark Tower, który zbudowany został przed dwoma laty, ale nie otwarto go z powodu procesów sądowych i olbrzymich problemów finansowych. Hughes zaproponował, że kupi ten budynek za 17 mln dolarów i spłaci licznych wierzycieli. Była to bardzo hojna oferta, ale także bardzo przebiegła zagrywka. Amerykański Departament Sprawiedliwości zakazał Hughesowi kupowania dalszych kasyn motywując to faktem, że miliarder posiadał już ich zbyt wiele. Jedyny sposób zdobycia Landmarku polegał na wykazaniu, że Hughes jest jedynym zbawcą. Rozpoczęto kampanię na wielką skalę, którą prowadzili senatorzy z Nevady, aby przekonać Departament Sprawiedliwości o niezbędności dokonania transakcji, chociaż nie było prawdą, iż Hughes jest jedynym chętnym do zakupu Landmarku. Maheu dowiedział się z poufnego i godnego zaufania źródła, że pewna firma o nazwie Denny's posiadająca wiele barów szybkiej obsługi, miała również zamiar kupić Landmark za cenę wyższą o jeden milion dolarów.

Robert Maheu powiedział Hughesowi, że wiadomość o takiej ofercie bardzo osłabiłaby ich pozycję wobec Departamentu Sprawiedliwości. Na szczęście jednak „źródło" Maheu było w stanie „przekonać Denny's o słuszności rezygnacji z przedstawiania oferty, przy czym nazwisko Hughesa nie pojawiło się w tym kontekście. Hughes kupił więc Landmark i Maheu ogłosił, że wkrótce nastąpi uroczyste otwarcie. Dniem otwarcia był 1 czerwiec 1969 r. Kerkorian ogłosił, że hotel International zostanie otwarty, także uroczyście, 2 czerwca. Wszyscy ci, którzy byli na uroczystościach zgodzili się co do tego, że współzawodnictwo zakończyło się remisem.

Telewizyjna transakcja

Nie ma lepszego przykładu na to co napisano powyżej, jak zakup lokalnej stacji telewizyjnej KLAS-TV przez Howarda Hughesa. Stacja ta należała do Hanka Greenspuna, wydawcy dziennika SUN.

— **Zaraz po pojawieniu Hughesa w Las Vegas** — powiedział Greenspun — **zacząłem otrzymywać telefony, że Hughes życzyłby sobie, aby stacja nadawała programy w nieco późniejszych godzinach, ponieważ lubi on oglądać telewizję między północą a godziną 6 rano, a my kończyliśmy nadawanie programu o pierwszej.**

Przedłużyłem więc program o godzinę, po prostu, żeby wyświadczyć człowiekowi przysługę. Wtedy Hughes i jego ludzie dopytywali się, czy nie moglibyśmy nadawać westernów, lub też filmów lotniczych. Powiedziałem, że nie możemy pozwolić sobie na filmy tego typu. I tak było przez miesiące. Telefonowali do mnie od Hughesa z prośbą o zupełną zmianę godzin nadawania, tak, aby Hughes mógł oglądać telewizję przez całą noc. W końcu powiedziałem w rozpaczy: Dlaczego nie kupi w końcu tego przeklętego byznesu i nie pokieruje nim sam.

Howard Hughes zrobił to bez wahania za 3,65 mln dolarów.

W KRAJU APARTHEIDU

Spośród rozlicznych prezentowanych w ostatnich tygodniach na naszych ekranach filmów spod znaku sensacji „NA TROPIE WILBY'EGO" jest chyba pozycją tyle samo najbardziej ciekawą, co i najbardziej kontrowersyjną. Podobne kontrowersje wzbudził wcześniejszy film Ralpha Nelsona, a znany i u nas „Niebieski żołnierz", odkrywający nieco inne strony westernowych opowieści niżeli te, które najlepiej się zna i najbardziej lubi.

Ralph Nelson należy do tej znacznej dziś grupy twórców, którzy zadebiutowali w kinematografii zdobywszy uprzednio szlify w telewizji. Tym faktem tłumaczy krytyka między innymi sprawę wyjątkowej wrażliwości na aktualne tematy polityczno-społeczne przy jednoczesnej skłonności do pewnej deklaratywności oraz schematyczności pokazywanych postaci. Należałoby tu dodać jeszcze jedną cechę — Nelson próbuje pogodzić swą publicystyczną pasję prezentacji politycznie i społecznie ważnych spraw z tradycją kina hollywoodzkiego, którego wyróżnikiem była i jest chwytliwa, sprawnie prowadzona intryga, wyrazistość efektów, widowiskowość i gwiazdorska obsada. Wszystko to odnaleźć można w filmie „Na tropie Wilby'ego" i zapewne dlatego budzić on musi mieszane uczucia.

To co w filmie tym ważne i poważne, związane jest z problemem apartheidu. Akcja filmu toczy się w Republice Południowej Afryki, kraju, dla którego ta najbardziej dziś skrajna forma rasizmu jest szczególnie znamienna. To, co w filmie tym niepoważne to fakt, że dla przedstawienia tego niezwykle tragicznego i drażliwego problemu wybrał Nelson konwencję kina sensacyjno-przygodowego z całym bogactwem jego inwentarza, które ceni się wysoko, ale w nieco innych kontekstach problemowych.

W sensacyjnych przygodach tego filmu uczestniczy trójka bohaterów: Murzyn, przywódca bojowników afrykańskich (nie zastąpiony czarny aktor Sidney Poitier), biała jego adwokatka (banalna, niedobra Prunella Gee) oraz jej kochanek, angielski inżynier przypadkowo zaplątany w polityczne rozgrywki (świetny w tej roli Michael Caine). I niestety, poza wstępnymi i końcowymi deklaracjami charakteryzującymi antyrasistowskie poglądy i aktywne postawy bohaterów, cała reszta filmu to ich sensacyjne przygody związane z ucieczką, rozgrywającą się w egzotycznych plenerach południowej Afryki. W historii tej nie brak momentów pełnych brutalności i okrucieństwa, będących świadectwem metod apartheidu, ale, i temu uczuciu trudno się oprzeć, w filmie tym służących głównie wzmocnieniu samej atrakcyjności opowieści.

Jest jednakowoż w filmie Ralpha Nelsona kilka scen, w których reżyser pokazał swój lwi pazur. Związane są one głównie z postacią majora Horna (znakomita rola Nicola Williamsona, wybitnego aktora brytyjskiego teatru i filmu), obdarowanego wyrazistymi rysami rasisty i faszysty. Stosuje on metody terroru psychicznego, które idąc w parze z terrorem fizycznym przywołują pamięć o najstraszliwszych doświadczeniach, które ludzkości przyniósł wiek XX. Najbardziej przejmujące sceny tego filmu to sytuacja, w której major Horn próbuje upokorzyć starego wodza afrykańskiego plemienia, a później Wilby'ego, przywódcę Kongresu Czarnych, bojowej murzyńskiej organizacji.

I tak toczy się ten film przynoszący na przemian przerażające obrazy metod apartheidu, niezwykle interesujące, mało nam znane sceny z życia w Republice Południowej Afryki, a w nim układy społeczne i obyczajowe zachodzące na linii biali, Murzyni i Hindusi, dość grubymi nićmi, niestety, szyte deklaracje polityczno-społeczne, a to wszystko splecione z sensacją i przygodą, które nie gardzą zarówno efektami „thrillera", jak i... komediowymi. Trudno to wszystko pogodzić w akcie odbioru i przeżywania. Wyznam też, że tego typu filmy napawają mnie zawsze jakimś moralnym niepokojem.

EWA NURCZYŃSKA

PROBLEMY

W SPOŁECZNYM INTERESIE

Powszechnie uznaje się fakt nadużywania napojów wyskokowych za szkodliwy społecznie, godny potępienia i energicznego zwalczania, to jednak w praktyce, gdy chodzi o indywidualne przypadki, sprawa niezmiernie komplikuje się. Naukowa prawda o niebezpieczeństwie przyzwyczajania się do alkoholu, groźbie nałogu, rodzącym potrzebę picia większych ilości alkoholu i z coraz to większą częstotliwością, w skali masowej nie jest doceniana. Niejednokrotnie obserwuje się tolerancyjny stosunek do pijących i nietrzeźwych. Na taką wyrozumiałość społeczeństwo jednak nie może sobie pozwolić. Alkoholizm i pijaństwo wywiera bardzo szerokie, negatywne skutki społeczne i gospodarcze. Dowiedziono bezspornie, iż alkoholizm jest istotnym czynnikiem kryminogennym. Sprzyja on popełnianiu wielu przestępstw, a w szczególności chuligaństwa. Wiele rodzin przeżywa gehennę współżycia z mężami czy synami pijakami i alkoholikami, nie łożącymi na utrzymanie dzieci, znęcającymi się fizycznie i moralnie nad członkami swej rodziny.

Alkoholizm jest też liczącym się negatywnym czynnikiem, gdy chodzi o absencję w pracy i brakoróbstwo w produkcji. W tych warunkach społeczeństwo podejmuje coraz aktywniejszą samoobronę, wykorzystując do przeciwdziałania występującemu masowo pijaństwu i alkoholizmowi różnego rodzaju formy oddziaływania społecznego oraz środki prawne.

W Polsce Ludowej posiadamy stosunkowo konsekwentne ustawodawstwo przeciwalkoholowe, które właściwie wykorzystane może skutecznie służyć zwalczaniu pijaństwa i alkoholizmu jako plagi społecznej oraz ograniczać ujemne skutki tych zjawisk. Ustawa uznaje nałóg pijaństwa za chorobę. Skutkiem nałogu są zazwyczaj, uchwytne tylko dla lekarza, uszkodzenia narządów wewnętrznych oraz, co jest najgroźniejsze, zaburzenia psychiczne. Otoczenie nie zawsze w porę może dostrzec przekroczenie granicy pomiędzy piciem „obyczajowym", a piciem nałogowym, awanturą przypadkową a awanturą wynikłą z chorobowo zmienionej psychiki. Dlatego też, zbyt częste picie alkoholu, chociażby w małych dawkach, powinno rodzić podejrzenie nałogu.

Nałóg alkoholowy niezmiernie rzadko przebiega bez zakłóceń dla porządku publicznego i życia rodzinnego. Zazwyczaj osobnik nadużywający nałogowo alkoholu popada w konflikty z porządkiem prawnym, zasadami współżycia społecznego oraz z członkami swej rodziny. Nałogowi alkoholicy zakłócają nam systematycznie swoimi wybrykami spokój publiczny i ciszę nocną, swoim niechlujnym wyglądem i wulgarnym zachowaniem wywołują zgorszenie.

Powodowanie rozkładu życia rodzinnego przez nałogowych alkoholików jest regułą. Alkoholik ociąga się lub uchyla całkowicie od obowiązku alimentacyjnego, a już w ogóle nie daje gwarancji zapewnienia dzieciom należytego wychowania. Wobec członków rodziny i otoczenia zachowuje się agresywnie. Dobrowolnie leczyć się nie chce. Wobec alkoholików z całą konsekwencją powinny być wyciągane wnioski prawne.

Prokuratura jest w systemie organów państwowych organem o stosunkowo szerokich uprawnieniach. Prokurator może działać nie tylko w postępowaniu karnym, ale także w postępowaniu cywilnym i w postępowaniu administracyjnym. Daje to prokuratorowi możliwość szerokiego działania w interesie praworządności, w interesie społecznym i w obronie pokrzywdzonych. Uprawnienia swoje prokuratorzy wykorzystują w pełni dla zwalczania alkoholizmu i wywołanych przez niego negatywnych skutków. Między innymi prokuratura interesuje się na bieżąco sprawami wykrywania nałogowych alkoholików i dąży do zapewnienia udzielenia wszechstronnej pomocy ich rodzinom.

Wykrywanie nałogowych alkoholików jest istotne ze względu na prawną dopuszczalność obejmowania ich przymusowym leczeniem odwykowym przez lecznictwo ambulatoryjne w poradniach przeciwalkoholowych lub przez lecznictwo stacjonarne w oddziałach odwykowych szpitali psychiatrycznych lub specjalnych zakładach odwykowych. Z wykrywaniem nałogowych alkoholików nie jest dobrze. Przeważnie z leczeniem odwykowym przychodzi się zbyt późno, kiedy jest znacznie trudniej o pomyślne rokowania lecznicze. Rodzina i otoczenie zwleka ze zgłoszeniem chorego do leczenia, nie dostrzegając takiej potrzeby albo nie znając swych uprawnień, bądź też z obawy przed agresywnością i groźbami alkoholika. Licząc się z tym prokuratura i inne organy państwowe poświęcają wiele uwagi wczesnemu wykrywaniu nałogu alkoholowego.

W ostatnim okresie prokuratorzy wystąpili do komisji społeczno-lekarskich z wnioskami o objęcie przymusowym leczeniem odwykowym 145 osób nadużywających alkoholu. Prokurator nie ogranicza się tylko do złożenia wniosku. Czuwa on nad przebiegiem postępowania administracyjnego w celu zapewnienia rozstrzygnięcia zgodnego z prawem i interesem społecznym. Prokuratorzy biorą też udział w postępowaniu sądowym, gdy rozpatrywane są sprawy o zastosowanie wobec niepoprawnego alkoholika przymusowego leczenia odwykowego w szpitalu. Poza inicjowaniem leczenia odwykowego prokuratorzy podejmują też czynności zmierzające do ochrony prawnej rodziny alkoholika. W minionych miesiącach prokuratorzy w 29 przypadkach wystąpili do sądu dla nieletnich o ograniczenie, bądź pozbawienie władzy rodzicielskiej, a w 142 wystąpili z pozwem o ustalenie, bądź podwyższenie alimentów. Prokuratorzy występują także do sądu z wnioskami, o nakazanie wypłacania całości lub części wynagrodzenia należnego osobie nadużywającej alkoholu do rąk osoby sprawującej opiekę nad jego dziećmi.

Przedstawione wyżej środki prawne są skuteczne. Ograniczają one w sposób znaczący pijaństwo i wywierają istotny wpływ na zmniejszenie pogłębiania się alkoholizmu jako zjawiska społecznego, groźnego i wywołującego złe skutki.

Nie jest prawdą, iż organy państwowe, społeczne, całe społeczeństwo jest bezradne wobec plagi alkoholizmu. Nie musimy godzić się z tym, że pijacy i alkoholicy będą nam permanentnie naruszać porządek prawny i publiczny, wyrządzać szkody i krzywdy. Trzeba konsekwentnie i uporczywie stosować wobec nich sankcje wynikające z obowiązujących ustaw i przepisów, aż do osiągnięcia oczekiwanych rezultatów. Nie wolno działać połowicznie. Potrzebne jest działanie konsekwentne i bezkompromisowe. Prokuratura bada każdy sygnał wskazując na nieprzestrzeganie przepisów wymierzonych przeciwko pijaństwu i alkoholizmowi oraz reaguje na przypadki zaniedbywania się w działaniu nakazanym przez prawo. Prokuratura współdziała w tym przedmiocie ze społeczeństwem, poszczególnymi obywatelami zarówno w interesie publicznym, jak i w celu usunięcia indywidualnych krzywd i szkód.

WITOLD ŁUCZAK
Wiceprokurator
Prokuratury Wojewódzkiej
w Łodzi

PIŁKA NOŻNA

ANDRZEJ MAKOWIECKI

FAWORYT i CZARNY KOŃ

1.

Złożyłem sobie niedawno solenne przyrzeczenie, że nigdy więcej nie podejmę tematyki sportowej, która notabene wciąga jak haszysz. Ale...

Mówisz sobie: koniec! Co mnie to wszystko obchodzi?! Czytasz jednak gazety, oglądasz telewizję — nie sprawdzają się twoje sekretne marzenia, krwawi serce, kiedy tuż przed metą kandydat na mistrza zaczyna potykać się na byle jakich przeszkodach i zostaje wreszcie dorżnięty jak owca. No i, chcąc nie chcąc, znowu łapiesz za pióro, żeby wtrącić swoje trzy grosze, co oczywiście niczego nie zmieni.

2.

Gorycz, którą przyniosła klęska **ŁKS**, łagodzi trochę sukces **WIDZEWA**. Honor miasta został w pewnym sensie uratowany. Mały klub wyręczył wielki klub; biedna drużyna zdystansowała drużynę bogatą. Wśród kibiców odbyła się zmiana nastrojów — sympatie zaczęły uciekać ze stadionu przy alei Unii na stadion przy ulicy Armii Czerwonej. W prasie, w radio, telewizji nastąpiła rotacja informacji: **WIDZEW** zajął miejsce okupowane od wielu miesięcy przez **ŁKS**, wdzierając się na czoło kolumn sportowych. To samo można powiedzieć o ubikacji w Klubie Dziennikarza.

Nawiasem mówiąc — jest to ustronie skandaliczne. W całym gmachu, także w innych, zamykanych na klucz toaletach redakcyjnych, panuje wzorowy porządek, natomiast tu powinien momentalnie wkroczyć sanepid — nasi przypadkowi goście, przychodzący z ulicy na gawkę, piwko, papieroska i kieliszek koniaku, brudzą tak, jakby to była opuszczona, wiejska sławojka. Oni też zapewne, bo chyba nie ja i nie redaktor Władysław Lachowicz, dają na ścianach upust swojej ciekawości, wyrzynając z uporem dziury między jedną kabiną a drugą oni wypisują kredkami świństwa, oni wreszcie — żeby wrócić do sedna sprawy — toczą na ścianach spór, która z dwóch łódzkich drużyn lepsza: **WIDZEW GÓRĄ! — A GÓWNO! — ŁKS DRUGIE MIEJSCE W III LIDZE! — BRAWO KOWALSKI! — TRZYMAJ SIĘ LESZEK!**

Są to bez wątpienia szlachetne próby kształtowania opinii publicznej poprzez wywieranie dyskretnego nacisku na kontemplujących dziennikarzy, ale dziennikarze i bez tych podpowiedzi wiedzą swoje.

3.

ŁKS inaczej grał w pierwszej rundzie niż w drugiej. Jesienią 1976 roku był to zespół niespodzianek — ligowy taran, pełen fantazji zabijaka, nieraz szuler i ryzykant, występujący z piątym asem w rękawie: czyli w jedenastkę bez bramkarza. Jesienią ubiegłego roku ŁKS grał przede wszystkim o uznanie i oklaski, wiosną zaś 1977 roku zaczął grać o punkty. Jesienią zdobywał, wiosną bronił. Jesienią był orłem i sokołem, wiosną posażnym staruchem, który drży ze strachu, że go zaraz pobiją i ograbią.

Przegrywać jest trudniej niż wygrywać. Nie jest to oczywiście stwierdzenie oryginalne, ale za to aktualne. Męstwo, hart ducha, ambicja — owe piękne cechy, które powinien rozwijać sport i które właśnie u przegrywających mają największą siłę wzruszenia — opuściły **Łódzki Klub Sportowy** u końca rozgrywek — po porażkach na wyjeździe zaczęły się sypać klęski w domu. O ile porażka jest rzeczą naturalną i można ją usprawiedliwić, klęska na oczach własnej widowni ma w sobie coś z masochizmu. **ŁKS** zaczął się pławić, lubować w klęskach: patrzcie, jest ze mną źle, ale będzie jeszcze gorzej; zaraz popełnię na sobie harakiri! Tak mi dobrze i słodko, tak cudownie, Wykrwawię się zaraz na złość trenerowi i kibicom!...

4.

Miałem okazję zamienić parę zdań z **Leszkiem Jezierskim.** Zdziwiła mnie rozpacz, z jaką ten człowiek przyjmuje upadek zespołu.

Powiedział:

— Mieliśmy to już w kieszeni. Ale potem kilku poszło do pierwszej reprezentacji, kilku do drugiej, kilku do młodzieżówki... Same asy, no i zaczęło się psuć...

Może i tak. Obrodziło w primadonny. Jedenastu solistów, z których każdy czuje się absolutnie najlepszy, nie tworzy zespołu i nie ma mowy, aby w ten sposób wygrywać mecze.

Ale chodzi tu jeszcze o coś innego. Odporność psychiczna. Uważam, że ten niebagatelny walor nigdy nie był silną stroną polskiego sportu, a już szczególnie piłkarzy, a najszczególniej — **ŁKS.** Kiedy dobrze, to dobrze, kiedy źle, ręce opadają. Mimowolnie przychodzą mi na myśl sportowcy radzieccy. Oczywiście jako przykład odwrotny. Gdyby nie odporność psychiczna, śmiem twierdzić, że nasz wschodni sąsiad zdobywałby o połowę mniej medali na wszelakich imprezach i olimpiadach. Ich umiejętności w takich dyscyplinach, jak kolarstwo, hokej, piłka nożna, boks, lekkoatletyka są niejednokrotnie takie same albo nawet niższe niż umiejętności ich przeciwników. Ale Rosjanie walczą zawsze tak, jakby walczyli o życie — wtedy, kiedy prowadzą z kimś dziesięć — zero i wtedy, kiedy dziesięć — zero z kimś przegrywają. Jest to wspaniałe! Szwecja prowadzi z Rosjanami w hokeja 5 do 3, do końca meczu brakuje bodajże dwadzieścia pięć sekund, a widownia ma niezbite przekonanie, że lada moment będzie remis. Nie ma, rzecz jasna, tego remisu, ale sam fakt, że się na taki cud czeka, doprowadza widownię do wrzenia, a kibiców drużyny przeciwnej do zawału. Rosjanie przegrywają jak giganci. Łatwiej im po takiej przegranej zejść z boiska. Łatwiej spojrzeć w twarz trenerowi, dziennikarzom i kibicom.

Gdyby nauczył się tego ŁKS.

Mieszkam na Karolewie i codziennie muszę przejeżdżać obok stadionu przy Alei Unii. Śmieszne! Niby nie traktuję sportu poważnie, dawno już nie byłem na żadnym meczu tej drużyny, a przecież, kiedy patrzę z okna tramwaju na strzeliste słupy elektrycznego oświetlenia, oblewam się łuną wstydu.

5.

Dużo wody upłynie, nim **WIDZEW** stanie się pierwszą miłością i troską kibiców. Rzecz jasna — należy mu się to już od dwóch lat. Jest lepszy, skromniejszy, ambitniejszy, mniej zdeprawowany niż **ŁKS.** Byłoby więc dziejową sprawiedliwością dać mu prymat w naszych sercach, może zresztą tak się stanie. Ale... miłość jest ślepa. Wystarczy, aby **ŁKS** wygrał w nowej rundzie kilka spotkań, żeby błysnął jakąś niespodzianką na wyjeździe i zaraz wszystko wróci do normy — zapełni się stadion, dziennikarze zepchną **WIDZEW** na dół kolumny, nawet w prasowej ubikacji odbędzie się rotacja nastrojów tak, aby redaktorzy wiedzieli, kto lepszy.

ŁKS wbił się w pamięć wielu łódzkich pokoleń tak, jak wbiła się w stolicy Polonia. Żeby nawet — jak chcą tego niektórzy — spadł na trzecie miejsce w trzeciej lidze, i tak wszyscy będą się po cichu do niego modlić, wierzyć że odzyska dawną (albo raczej: niedawną) świetność. Mało jest ludzi i mało instytucji w tym mieście tak obrzucanych błotem jak **ŁKS,** ale jest to, mimo wszystko, nienawiść pozorna — więcej w tym niepokoju niż złości.

ŁKS i **WIDZEW** można porównać do dwóch synów z tej samej matki i ojca. Pierwszy syn jest krnąbrny, nie uczy się, rozrabia, skandalizuje — drugi sumiennie odrabia lekcje, odznacza się układnością i rozwagą. A mimo wszystko rodzina woli tego przeklętego bałaganiarza.

Bywa jednak, że rodziny ulegają zmianie nastrojów. Gdyby tak Widzew, obok wicemistrzostwa Polski, wyciął jeszcze jakiś piękny numer w rozgrywkach pucharowych, gdyby pozyskał jakiegoś wielce sławnego zawodnika, gdyby w nowym sezonie grał równie bojowo jak w starym, coś w sercu rodziny może się nieodwracalnie przekręcić.

Zresztą — w niektórych sercach przekręciło się już. Bogda Madej woli **WIDZEW,** Lucek Włodkowski — **WIDZEW,** ja w finale rozgrywek też przeszedłem na stronę **WIDZEWA,** Dużo jednak wody upłynie, nim **WIDZEW** stanie się pierwszą miłością kibiców. Ale woda ma to do siebie, że płynie.

6.

W owej krótkiej rozmowie z **Leszkiem Jezierskim** pozwoliłem sobie wyrazić opinię, że sukces **WIDZEWA** (!) jest także jego sukcesem.

Leszek Jezierski zaprzeczył. I to szczerze. Był to bardzo piękny gest długoletniego trenera widzewian, jednakże nie przekonał mnie wcale...

Pamięć ludzka, także pamięć tak zwanej opinii sportowej, jest zawodna, żeby nie powiedzieć: wredna. Przez ostatnie dwa lata Leszek Jezierski był „trenerem roku" w różnych oficjalnych plebiscytach. Gdyby tej wiosny prowadzony przez niego zespół zdobył mistrzostwo Polski, Leszek Jezierski byłby „trenerem roku" po raz trzeci, a w związku z tą trójcą zdobyłby zapewne jeszcze cały szereg innych pucharów i wyróżnień. **ŁKS** nie zdobył jednak mistrzostwa Polski, w związku z czym Leszek Jezierski nie znalazł się nawet na liście dziesięciu najlepszych trenerów roku — skreślono go, zbojkotowano, jego gwiazda straciła blask.

Fot. Włodzimierz Parys

WIDZEW i zwolennicy **WIDZEWA** wielbią teraz **Pawła Kowalskiego.** Bardzo słusznie! Sprawdził się ten nowy trener; oby jak najdłużej i jak najpomyślniej przewodził widzewskiej jedenastce. Ale patrząc obiektywnie na sprawę — w sukcesie **WIDZEWA** jest także duży udział **Leszka Jezierskiego.** Delikatna to materia i aż nie wypada o niej mówić. Przecież na zasadzie konkurencji — **WIDZEW** był w pewnym sensie wrogiem Leszka Jezierskiego, w bezpośrednich spotkaniach obu łódzkich drużyn Leszek Jezierski musiał siłą rzeczy życzyć widzewianom źle, tak, jak przed dwoma laty, będąc trenerem **WIDZEWA,** musiał życzyć źle **ŁKS...**

Zastanawiam się, co też jest na dnie serc obu trenerów. Cieszy się Leszek Jezierski sukcesem konkurencyjnego zespołu, który przez wiele lat uczył się grać właśnie pod jego kierunkiem? A **Paweł Kowalski?...** Jak przyjmuje porażkę **ŁKS,** w którym kiedyś przecież grał z powodzeniem? Co sądzi o swoim trenerskim wyniesieniu i jak rozlicza je w skrytości ducha?

Futbol jest fascynującym sportem, ale świat piłkarski jest okrutny i bezwzględny. Uwagi i niepokoje, które znalazły się w tej publikacji, pokwitowane zostaną zapewne ironicznym uśmiechem albo wzruszeniem ramion. Nikt nie ma czasu zajmować się takimi bzdurami, skoro nowy sezon za pasem i trzeba pomyśleć o sprawach zasadniczych.

U PRZYJACIÓŁ

W Moskwie trwa jubileuszowy X Międzynarodowy Festiwal Filmowy, zorganizowany pod tradycyjnym już hasłem „O humanizm sztuki filmowej, o pokój i przyjaźń między narodami".

W tegorocznym festiwalu biorą udział 92 kraje z pięciu kontynentów oraz ONZ i UNESCO. Wśród uczestników znajdują się wszystkie „potęgi filmowe", a obok nich kraje, w których kinematografia stawia pierwsze kroki.

Impreza moskiewska to trzy konkursy (filmów fabularnych, dokumentalnych i krótkometrażowych oraz konkurs filmów dla dzieci).

Odbędą się także liczne pokazy pokonkursowe, wśród nich targi filmowe, dyskusja poświęcona omówieniu dróg rozwojowych i problemów współczesnej sztuki filmowej, wreszcie bezpośrednie spotkania twórców, krytyków i dystrybutorów we własnym gronie i z widzami w kinach i zakładach pracy stolicy ZSRR.

W Moskwie z okazji festiwalu wyznaczyło sobie spotkanie 1100 ludzi filmu z całego świata.

Zgłoszono 330 filmów — 160 fabularnych, 50 dokumentalnych i 122 krótkometrażowe.

36 filmów fabularnych zakwalifikowało się do udziału w konkursie głównym, a wśród nich polski film „Ocalić miasto" reż. Jana Łomnickiego.

Inne tytuły konkursowe to m. in.: „Plac San Babilo: godz. 20" reż. Carla Lizzaniego (Włochy), „Samotna droga Chikuzana" reż. Keneto Shibo (Japonia), „Idealista" reż. Igora Pretnera (Jugosławia), „Seddo" reż. Sembene Ousmana (Senegal).

Każdy kraj uczestniczący w festiwalu demonstruje tylko jeden film.

Kinematografia radziecka przedstawia nowy utwór gruzińskiego reżysera Gieorgija Danieliji pt. „Mimino" zrealizowany w wytwórni „Mosfilm".

W dniu otwarcia gospodarze pokazali na ekranie kremlowskiego Pałacu Zjazdów — poza konkursem — długo oczekiwany film twórcy „Wyzwolenia" Jurija Ozierowa, zatytułowany „Żołnierz wolności".

Akcja utworu obejmuje lata 1943—45 i obrazuje walkę jaką prowadzili komuniści krajów Europy Środkowej i Wschodniej z hitlerowskim okupantem, a po wyzwoleniu — o postęp i sprawiedliwość społeczną, o ugruntowanie i utrwalenie nowych form ustrojowych.

Rekonstruując wydarzenia historyczne sprzed z górą trzech dziesięcioleci wierne odtworzenie wszystkich wydarzeń było niezwykle trudne, dlatego też film ten powstał przy współpracy kinematografii krajów socjalistycznych, w tym również i Polski.

Z naszej strony współscenarzystą jest Zbigniew Załuski. W filmie pokazano polskie epizody i postacie historyczne ludzi, którzy byli przywódcami w walce z hitlerowskim najeźdźcą i już w toku tej walki mieli sprecyzowaną wizję budowania życia w wyzwolonym kraju na fundamencie sprawiedliwości społecznej socjalizmu. Film ukazuje patriotyczną postawę naszego narodu, męstwo i nieprzejednanie w obliczu wroga.

Nie trzeba dodawać, że film spotkał się z ogromnym zainteresowaniem kilkutysięcznej widowni w Pałacu Zjazdów.

* * *

Rozpoczęła się rekonstrukcja domu w Szachmatowie — rodzinnej posiadłości Aleksandra Bloka położonej w dzisiejszym rejonie Sołniecznogorskim w obwodzie moskiewskim.

Poeta bardzo lubił tę posiadłość, w której spędził dziecięce i młodzieńcze lata.

Szachmatowo było dla niego tym, czym Michajłowskoja dla Puszkina czy Konstantinowo dla Jesienina: źródłem twórczej inspiracji.

Siedziba Bloków spłonęła w latach dwudziestych. Obecnie zdecydowano się na całkowitą rekonstrukcję obiektu.

Przed restauratorami stanęło trudne zadanie. Zaczęło się poszukiwanie w archiwach zachowanych opisów, zdjęć i rysunków domu. Trzeba przyznać, że wykonawcom szczęście dopisało. W archiwach Domu Puszkina w Leningradzie odnaleziono rodzinną kronikę Bloków spisaną przez siostrę matki poety — M. Bekietow. Kronika okazała się bezcenną pomocą, ponieważ zawierała nie tylko szczegółowy opis domu, ale również drobiazgową charakterystykę jego wnętrza i co ważniejsze — rysunki. M. Bakietowa opisała nawet kolory, wzory obić i tapet na ścianach, a także kształt wielkiego stołu postawionego w parku pod lipami.

PUSTYNIE ATAKUJĄ

Jeszcze do niedawna niedobór słodkiej wody istniał tylko w rejonach świata z klimatem suchym i gorącym, o bardzo ograniczonych zasobach wody i najczęściej w krajach słabo rozwiniętych. Ale już w ostatnim dziesięcioleciu zaczęły odczuwać „pragnienie" liczne wysokouprzemysłowione kraje, leżące w wilgotnych strefach klimatycznych kuli ziemskiej i posiadające duże zasoby wodne.

Co spowodowało ten niedosyt wody? Jakie przyczyny złożyły się na to zwiększone zapotrzebowanie na wodę? Przede wszystkim nieustanny wzrost zapotrzebowania na wodę w gospodarce rolnej, przemyśle i dla osobistych potrzeb ludzi. Niestety, światowe zasoby wodne są ograniczone, a w dodatku znaczna część wody nie nadaje się do użycia z powodu zanieczyszczeń, przeto zaspokajanie rosnących potrzeb ludzkości, napotyka na coraz większe trudności.

Tę i tak już skomplikowaną sytuację zaostrza globalny napór pustyń na ziemie uprawne i pastwiska, spowodowany wyrąbywaniem lasów, nieracjonalnym prowadzeniem gospodarki rolnej w wielu rejonach naszej planety i warunkami atmosferycznymi. Jak podaje „Time", w ciągu ostatnich 50 lat Sahara pochłonęła około 650 tysięcy km kw. sąsiadującej z nią ziemi zdatnej do uprawy i wypasu bydła. Specjaliści sudańscy stwierdzili, iż granica pustyni w ciągu ostatnich 19 lat, przesunęła się o około 100 kilometrów na południe. Ten uderzający w oczy atak pustyń nie ogranicza się do kontynentu afrykańskiego; to samo zjawisko obserwuje się w Chile, gdzie podczas suszy lat czterdziestych granice pustyni Atacama „rozpełzały się" z szybkością dwa i pół kilometra w ciągu roku, w Indiach, Pakistanie i gdzie indziej. W związku z tym, jak utrzymują specjaliści, należy oczekiwać kryzysu żywnościowego w tych właśnie rejonach świata, tym bardziej iż Zachód usiłuje wykorzystać eksport żywności jako środek nacisku na Trzeci Świat.

Nad rozwiązaniem problemu zapewnienia ludzkości dostatecznej ilości wody pracuje coraz więcej uczonych. Znaczne sukcesy w tej dziedzinie osiągnięto już w Związku Radzieckim, intensywne badania prowadzi się w wielu krajach świata. Wykonywane ze sputników zdjęcia fotograficzne niebieskawozielonej Ziemi wyraźnie świadczą o obfitości wody na naszej planecie. Problem polega jednak na tym, że tylko z nieznacznej części tej masy wody może człowiek korzystać. I tak 97,3 procenta z 14 miliardów kilometrów sześciennych światowych zasobów wody, stanowią oceany, których wody są nieprzydatne ani do picia, ani dla potrzeb rolnictwa. Z pozostałych 2,7 procenta, które przypadają na wodę słodką, ponad trzy czwarte z tej ilości zawierają w sobie lodowce i polarne czapy. Znaczna część pozostałej wody znajduje się w podziemnych pokładach wodonośnych, zalegających na głębokości kilku tysięcy metrów.

Zaledwie 0,36 procenta wszystkich światowych zasobów wody do picia przypada na rzeki, jeziora i błota, i tylko stamtąd może ją czerpać człowiek dla swoich potrzeb. Popyt na te ograniczone zasoby wodne rośnie w tempie błyskawicznym, w miarę tego jak coraz więcej i więcej ludzi używa wody nie tylko do picia i przygotowywania pokarmów, lecz także do wanien i toalet, do mycia samochodów, polewania trawników itp. itd. Podczas gdy ludzie na afrykańskich pustkowiach mogą zużywać na swoje potrzeby nie więcej niż trzy litry wody dziennie, mieszkańcy krajów rozwiniętych pozwalają sobie na ogromną rozrzutność.

Jak wynika, z danych przedstawionych na międzynarodowej konferencji zorganizowanej w Argentynie z inicjatywy ONZ, w niedługim czasie zasoby wody mogą się okazać niedostateczne dla rosnących potrzeb ludzkości. Na przykład w Londynie zużywa się dziennie 263 litry wody na jednego człowieka, w Paryżu — 500 litrów, a w Nowym Jorku — 1045 litrów wody. Ale nawet jeśli indywidualne zużycie wody zacznie się zmniejszać, jej ogólny rozchód będzie rósł w dalszym ciągu, bowiem liczba ludzi na kuli ziemskiej, przewyższająca dziś 4 miliardy, zwiększy się w 2000 roku, jak przewidują uczeni, do 7 miliardów.

Ale ilości wody zużywanej dla potrzeb osobistych człowieka nie można nawet porównać z zapotrzebowaniem w gospodarce rolnej. Przypada na nią 80 procent wody zużywanej przez ludzi. Trzydzieści do czterdziestu procent produktów żywnościowych na naszej planecie jest dziś uzależnione od nawadniania ziemi. Jednak w miarę zwiększania się ilości ludzi na Ziemi i rosnącego popytu na produkty żywnościowe będzie także nieuchronnie rosnąć zapotrzebowanie na wodę.

Zużycie wody w przemyśle: do produkcji energii elektrycznej, do ochładzania reaktorów a także w produkcji chemicznej i metalowej nieustannie wzrasta. W konsekwencji zanieczyszczono tyle rzek i jezior, że woda z nich staje się niezdatna do dalszej konsumpcji bez kosztownego procesu oczyszczania. Zaniepokojenie budzi jednak fakt, iż nawet oczyszczona woda najczęściej nie nadaje się do picia ponieważ wywołuje liczne zachorowania. Według danych Wszechświatowej Organizacji Zdrowia, około 80 procent wszystkich wypadków zachorowań na świecie wiąże się z używaniem zanieczyszczonej wody.

Niedawne susze uświadomiły ludzkości zastraszający fakt, że światowe zapasy wody są bardzo ograniczone. Niektóre kraje próbują nowych metod zwiększania swoich zasobów wody. Jak podaje nowojorski „Time", Arabia Saudyjska zawarła kontrakt z pewną francuską firmą na zbadanie możliwości przyholowania lodowców od brzegów Antarktydy do jednego z portów Morza Czerwonego, w którym można by przeprowadzić operację odzyskania zawartej w nim słodkiej wody. Większe nadzieje wiąże się jednak z metodami mniej ekscentrycznymi. Należy do nich, między innymi, odsalanie wody morskiej. Ta sama Arabia Saudyjska, która ma bardzo dużo pieniędzy i bardzo mało wody, a przy tym straciła wiarę w „odzysk" wody z lodowców, przystępuje obecnie do realizacji bardzo kosztownego programu — 12 miliardów dolarów — który do roku 1980 pozwoli jej na odsalanie 2,3 miliarda litrów wody morskiej dziennie. Zasobny w naftę, a spragniony wody Kuwejt już obecnie niemal całą swoją słodką wodę czerpie z morza.

Inna metoda polega na głębokich wierceniach ziemi. Zwiększając głębokość wierceń egipscy geolodzy próbują się dostać do ogromnych podziemnych rezerwuarów słodkiej wody, które, jak przypuszczają eksperci, zalegają pod Zachodnią Pustynią na głębokości około 1200 metrów pod powierzchnią ziemi. Podobne próby robi się także w innych krajach. Byłoby to jednak tylko tymczasowe rozwiązanie problemu, bowiem podziemne zbiorniki wody odtwarzają się tak powoli, iż z praktycznego punktu widzenia zapasy wody są w nich ograniczone: mogą dawać wodę bardzo długo, lecz w końcu muszą się wyczerpać.

Niektóre kraje uzupełniają swoje zasoby wodne przez powtórne wykorzystanie wody. Japończycy badają system, w którym woda idzie najpierw na użytek ludzi a następnie używa się jej (oczyszczonej) do celów przemysłowych. W Finlandii, w przemyśle celulozowo-papierniczym, wyprobowuje się system uzdatniania zużytej wody w celu powtórnego jej wykorzystania, co pozwoli na zmniejszenie ogólnego zużycia wody. Wiele uwagi poświęca się zmianie koryt rzek. W Związku Radzieckim prowadzi się prace nad zrealizowaniem projektu przystosowanego do gigantycznych rzek ZSRR, płynących na północ. Kierując część ich wód na południe, specjaliści radzieccy wprzęgną je w systemy nawadniające, które pozwolą na sianie pszenicy w rejonach Związku Radzieckiego, na których rozciąga się dziś bezpłodna pustynia.

Futurolodzy przestrzegają, że wszelkie środki podejmowane w celu zwiększenia zasobów wody na Ziemi będą niewystarczające, jeśli człowiek będzie nadal szafował wodą i bezmyślnie ją zanieczyszczał, i jeśli ilość ludzi na Ziemi będzie rosnąć w tempie powodującym nadmierne przeciążenie naturalnych systemów wodnych.

JERZY CZECH

HORMONY A CHOROBY SERCA

Naruszenie delikatnej równowagi hormonów płciowych w organizmie jest głównym elementem podatności człowieka na ataki serca — twierdzi doktor G. Phillips z Columbia University. Chodzi tu o estradiol i testosteron — główne hormony płciowe we krwi. Teoria Phillipsa proponuje fundamentalne fizjologiczne wyjaśnienie szeregu „elementów ryzyka", które wiązano z atakami serca.

Naruszenie wzajemnego stosunku dwu hormonów: żeńskiego hormonu estradiolu i męskiego — testosteronu prowadzi, na razie nie wyjaśniono jeszcze jaką drogą, do zmian biochemicznych związanych z atakami serca — twierdzi dr Phillips. Szczególne znaczenie w jego badaniach posiada stwierdzenie faktu, iż wysoki poziom zawartości estradiolu jest bardzo ściśle związany z atakami serca. W organizmie mężczyzn znajduje się zazwyczaj nieduża ilość hormonów żeńskich (przekształcanie testosteronu w estradiol zachodzi w całym organizmie).

Niektórzy specjaliści uważają, że informacja doktora Phillipsa może radykalnie zmienić kierunek medycznych poszukiwań przyczyn ataków serca. Jednakże jego teoria, jak się oczekuje, będzie przedmiotem gorących dyskusji w kołach naukowych. Teoria ta powstała w wyniku informacji naukowej, którą dr Phillips złożył w lipcu ub. roku. Mowa w niej o młodych mężczyznach, którzy doznali ataków serca i mieli we krwi dużą zawartość estradiolu. Badaniami objęto 15 mężczyzn w wieku do 43 lat, dotkniętych chorobami serca i 15 zdrowych mężczyzn, którzy wyrazili zgodę na udział w tych badaniach w charakterze grupy kontrolnej. Uprzednio wśród lekarzy utrzymywał się pogląd, że żeńskie hormony spełniają funkcje ochronne, ponieważ kobiety aż do okresu przekwitania stosunkowo rzadko chorują na serce. Okazało się jednak, że mężczyźni, którzy mieli ataki serca, i którzy w toku eksperymentu dobrowolnie poddawali się leczeniu hormonami żeńskimi, nie odczuli poprawy.

(C.)

POCZTOWE PROBLEMY USA

Chociaż opłaty za usługi pocztowe w USA bardzo wzrosły, ich jakość wyraźnie spadła. W ośrodkach wiejskich zamknięto tysiące oddziałów pocztowych. Amerykańska służba pocztowa ma ogromny deficyt, sięgający sumy 3 miliardów dolarów. Zamierzenia komisji senackiej USA do spraw resortu poczty nie przewidują istotnych zmian w jej obecnej strukturze. Natomiast komisja oczekuje, iż do 1985 roku cena przesyłki listu wewnątrz kraju wzrośnie o 25 proc.

(C.)

■ PO SZEŚCIU TYGODNIACH – NADZIEJE
■ CZY RZECZYWIŚCIE NOWE AKCENTY?
■ SOCJALISTYCZNY WIETNAM W ONZ

Pisaliśmy na tym miejscu o pewnym impasie w toku przygotowawczych rozmów belgradzkich i propozycji, początkowo nieoficjalnej, grupy państw neutralnych i niezaangażowanych. Wcześniejsze projekty z jednej strony: USA i W. Brytanii, z drugiej: Związku Radzieckiego okazały się zbyt rozbieżne.

Po 34 posiedzeniu plenarnym spotkania większość proponowanych punktów w zasadzie została uzgodniona. Utrzymują się różnice zdań m. in. co do czasu trwania jesiennych obrad.

Pod koniec ub. tygodnia szef delegacji polskiej — **amb. M. Dobrosielski udzielił wywiadu** przedstawicielom PAP i „Trybuny Ludu" na temat dotychczasowego przebiegu obrad. Stwierdził on m. in., że w szóstym tygodniu belgradzkiego spotkania panuje już zgoda co do większości spraw, związanych z jesiennymi obradami.

Spotkanie przygotowawcze, przypomnijmy, zajmuje się sprawami porządku dziennego i procedury spotkania. Dlaczego są to sprawy tak istotne?

Oto, jakiej odpowiedzi na tak postawione pytanie udzielił amb. Dobrosielski:

„Po pierwsze dlatego, że kryją się za nimi odmienne koncepcje polityczne i merytoryczne, dotyczące zasadniczego spotkania. Po drugie dlatego, że wypracowywana obecnie koncepcja traktowana jest jako model przyszłych tego rodzaju spotkań, przewidzianych przez Akt Końcowy".

Inaczej mówiąc — obecne uzgodnienia nadadzą kształt jesiennej dyskusji i mogą być dla przyszłych spotkań wzorcowymi. Jesienne spotkanie w stolicy Jugosławii nie jest przecież celem samym w sobie. Przypomnijmy — słowami M. Dobrosielskiego — że

> „zadaniem spotkania jesiennego, zgodnie z literą i duchem Aktu Końcowego, ma być omówienie problemów rozwoju bezpieczeństwa i pokojowej współpracy na naszym kontynencie, dalszy rozwój procesu odprężenia, a nie konfrontacja".

Ku ułożeniu stosunków pokojowej współpracy zmierza cała polityka zagraniczna krajów socjalistycznej wspólnoty, jej liczne międzynarodowe inicjatywy. Jeśli chodzi o Związek Radziecki — to zasady Aktu Końcowego KBWE, co więcej, wpisane zostały do projektu nowej konstytucji. Najlepsze to potwierdzenie trwałości owych zasad.

* * *

A teraz znów nieco o stosunkach amerykańsko-radzieckich. W czwartek **prez. J. Carter określił te stosunki jako „szczególnie ważne zarówno dla USA, jak i całego świata".** Potwierdzając istnienie zasadniczych różnic w wielu sprawach między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim powiedział, iż oba kraje jako wielkie potęgi ponoszą szczególną odpowiedzialność. „Istnieją realia ludzkiej społeczności, które muszą nas zbliżać. Myślę o pragnieniu prawdziwego pokoju...".

Słowa te, gdyby za nimi podążała praktyka Waszyngtonu, zasługiwałyby na specjalną uwagę. Niestety, w tym samym przemówieniu Carter podjął próbę obrony dotychczasowej taktyki administracji amerykańskiej. Mimo to **komentatorzy zagraniczni dopatrują się w wystąpieniu prezydenta USA pewnych nowych — w stosunku do wypowiadanych ostatnio — akcentów.** Czy słusznie — wykaże najbliższy okres.

* * *

Kolejny temat naszego komentarza — to wejście Wietnamu w skład członków ONZ. Piszemy o tym jako o fakcie już dokonanym, gdyż **zapadła taka decyzja Rady Bezpieczeństwa ONZ.** W przypadkach tego rodzaju ona jest najważniejszą, głosowanie w Zgromadzeniu Ogólnym staje się tylko niezbędną formalnością.

Wniosek o przyjęcie Wietnamu do ONZ zgłaszany był już niejednokrotnie, ale USA zawsze znajdywały pretekst, aby go storpedować. Ostatnio jednak Waszyngton znalazł się w izolacji i musiał wyprowadzić z tego wnioski.

A więc proklamowana przed rokiem, w lipcu 1976 roku, **Socjalistyczna Republika Wietnamu staje się rzeczywistym członkiem ONZ** — 148 w kolejności.

Historia narodu wietnamskiego znaczona jest pasmem tragedii, które zakończyły się dopiero niedawno — w 1975 roku, kiedy to upadł reżim sajgoński. Swą nieustępliwą walką o niepodległość i prawo do samodzielnego pokojowego bytu naród ten szczególnie sobie zasłużył na członkostwo w organizacji, której celem jest przecież pokój i równoprawna międzynarodowa współpraca. **Polska, wszystkie kraje socjalistyczne**, które solidaryzowały się z tą walką i przez cały czas udzielały pomocy narodowi wietnamskiemu, z **faktu decyzji Rady Bezpieczeństwa wyrażają dużą radość.** Chociaż z opóźnieniem spełnia się jednak akt sprawiedliwości...

W. SŁAWSKI

SPORT

PREMIERA

Rozpoczął się nowy sezon ligowy 1977/1978. Sezon dla polskiego piłkarstwa bardzo istotny. Wprawdzie ruszyła dopiero pierwsza liga, ale przecież od poziomu gry drużyn tej ligi, w której grają reprezentanci Polski, zależeć będzie też powodzenie Polski w eliminacjach do Mistrzostw Świata w piłce nożnej, jakie rozegrają się w 1978 roku w Argentynie. Można bez przesady powiedzieć, że startem w ligowych rozgrywkach rozpoczęli polscy piłkarze przygotowania do Mistrzostw Świata. Stąd i zainteresowanie ligowymi rozgrywkami nieco inne niż zawsze i większe mimo letniego sezonu, mimo urlopów i wyjazdów.

Premiera już się odbyła i chociaż to dopiero premiera, chociaż po pierwszej kolejce trudno o bardziej precyzyjne wnioski, to dla łódzkich kibiców nie ma wielu powodów do radości. Wprawdzie lokata w tabeli nic jeszcze nie znaczy, wszystko dokładnie się jeszcze może wymieszać, ale na boiskach w Łodzi i we Wrocławiu padły konkretne wyniki i coś z nich już wynika. Jakieś wnioski przynajmniej dla obu łódzkich drużyn wynikają i warto to otwarcie powiedzieć.

Sympatyczny zespół **RTS Widzew** przesłał mi pozdrowienia z obozu treningowego w Kamieniu, za co dobry obyczaj nakazuje serdecznie podziękować, co też niniejszym czynię. Ale dobry obyczaj wraz z sympatią nakazują mi również napisać, co myślę o wyniku, jaki padł na stadionie przy ulicy Armii Czerwonej. Jest to pierwsza od długiego czasu przegrana Widzewa na własnym boisku i to przegrana ewidentna, z kiepskim stosunkiem bramek, co wyklucza wszelki przypadek i słabszy dzień zespołu. Takie przegrane zdarzają się wprawdzie nawet najlepszym zespołom, ale drużyna RTS Widzew jest w tej szczególnej sytuacji, w której nie może sobie pozwolić na takie przypadki. Dlatego też komentatorzy sportowi, którzy z uwagą patrzyli na stadion RTS Widzew, wynik ten nazwali s e n s a c y j n y m.

RTS Widzew jest przed bardzo ważnym spotkaniem z silną drużyną angielską i nie może sobie pozwalać na tego typu „kiks", na jaki sobie pozwolił w ubiegłą niedzielę, 24 lipca 1977 roku. Jest to prawda tak oczywista, że aż robi mi się wstyd, że muszę ją przypominać. Ale wszyscy są zgodni, że zespół **Widzewa** mecz z **Arką** zlekceważył, że postanowił wygrać spacerowo, bo zbyt sobie zaufał. Czyżby zawrót głowy od sukcesów? Za wcześnie jeszcze na to. Zresztą na takie zawroty głowy jest i powinno być zawsze za wcześnie.

Paweł Janas ponosi winę za dwie bramki, z trzech jakie padły w tym meczu. **Paweł Janas** jest stoperem reprezentacyjnym i nie może o tym zapominać. Tym bardziej, że wobec pogłosek, jakie krążyły na temat chęci zmiany przez niego klubowych barw, takie obwinienie aż o dwie bramki ma dość nieprzyjemny posmak i pozwala na snucie bardzo paskudnych domysłów. Oczywiście ma to znamiona plotki, ale brzydki zapach po niej pozostaje i nie przyczynia się do wyrobienia dobrej pozycji drużyny w tak szczególnym i trudnym okresie.

Pozostaje też faktem wynik meczu z **Arką**. Faktem jest, że trener **Arki — Janusz Pekowski** znalazł sposób na pokonanie, niepokonanej od dłuższego czasu na własnym boisku drużyny. A skoro zrobił to **Janusz Pekowski**, to również będą o to mogli pokusić się inni. Tym bardziej, że w początkach jesiennej rundy tego sezonu **RTS Widzew** nie ma łatwych przeciwników i powinien szczególnie ostrożnie, mądrze i dobrze grać. Nie może sobie pozwalać na żadne ryzyko, na liczenie, że w dalszych rozgrywkach jakoś nadrobi się straty. Takie myślenie dobre jest dla drużyny, która nie ma wiele do stracenia, a jej jedyną ambicją jest uplasowanie się w środku ligowej tabeli. Zespół **RTS Widzew** jest w zupełnie innej sytuacji.

Leszek Jezierski — trener **ŁKS** — powiedział wprawdzie, że **„remis jest korzystnym dla łodzian rezultatem"**, ale kibiców ten remis nie może zadowalać. Wprawdzie zremisować z mistrzem Polski, to już wiele, ale warto też zwrócić uwagę na to, w jaki sposób się remisuje. Wrocławscy sprawozdawcy uważają, że remis jest krzywdzącym wynikiem dla Śląska. Łódzki sprawozdawca też przyznaje, że przewagę mieli gospodarze. Tak więc mimo że **ŁKS** wywiózł z Wrocławia jeden punkt, nie ma zbytnich powodów do radości. Gdyby więc pokusić się o prognozę na podstawie tego meczu, to nie byłaby ona zbyt optymistyczna. **ŁKS** nie zaprezentował jeszcze formy, jakiej się od tej drużyny oczekuje.

Mam pełną świadomość tego, że po jednym meczu trudno o jakiekolwiek wiążące wnioski. Mam jednak i tę świadomość, że lepiej na początku przesadzić w opiniach, niż skłaniać się ku pobłażliwości. Od drużyn, którym nie zbywa na ambicjach, trzeba dużo wymagać od pierwszego spotkania, a nie rozgrzeszać je tym, że to dopiero pierwszy mecz, że wszystko jeszcze przed nimi. Na końcu bowiem może się okazać, że drużynom tym zabrakło właśnie tyle, ile straciły na początku. Trzeba więc z premiery wyciągnąć właściwe wnioski.

BOGDA MADEJ

LEKTURY NA LATO

EUGENIUSZ IWANICKI

TYDZIEŃ PIOTRA SOKALA

Idąc ulicą Pryncypalną natknąłem się na Lepika. Był w towarzystwie ponurego faceta, którego przedstawił mi jako poetę.

— To Włodek Bryndza, diabelnie utalentowany, choć nieśmiały. Prowadzę go właśnie do Klubu Dziennikarza, niech się trochę rozejrzy. A co z panem, jakoś mało pan pisze.

— Gromadzę siły.

— A, rozumiem — zaśmiał się konfidencjonalnie. — Szykuje się pan na miejsce redaktora Krawca.

— Bzdura. Gromadzę siły na wystrzałową rzecz.

Lepik trącił łokciem kolegę i mrugnął znacząco. Włodek Bryndza zaśmiał się głucho i bezczelnie popatrzył mi w oczy.

— Ze mną może być pan szczery — powiedział Lepik. — Krawiec na pewno wyjedzie za granicę. Wie pan o tym tak samo dobrze jak ja. A redakcja bez sekretarza...

— Jeśli do tego dojdzie, nie ja będę o tym decydować.

— Dojdzie, dojdzie — powtórzył. — Przetargi rozpoczęły się dość dawno, mogę wymienić kandydatów.

— Proszę pana — powiedziałem do Lepika, który z napiętą uwagą śledził wyraz mojej twarzy. — Stanowiska tego rodzaju absolutnie mnie nie interesują. Przede wszystkim chcę pisać. Czy pan, poeta, chciałby zamiast pisać wiersze wydawać pismo poświęcone poezji, gdzie inni drukowaliby swoje utwory? Mógłby pan zamienić pióro na linijkę typograficzną?

Lepik nie spodziewając się takiej argumentacji, na moment zamilkł. Prawdopodobnie rozważał za i przeciw przedstawionej przeze mnie sytuacji. Zwyciężyło samouwielbienie.

— Mógłbym. Przecież wówczas drukowałbym tyle swoich wierszy, ile by się dało ich zmieścić. O, to by było cudownie, no nie, Włodek?

Włodek Bryndza ponownie się zaśmiał. Jego śmiech był niezwykle przejmujący, choć głuchy, wydobywał się z niego niczym z głębokiej studni.

— Cudownie! — powtórzył. — Mam tyle wierszy!

— No, widzi pan, Włodka drukowałbym także.

Nie zamierzałem stać z nimi na ulicy, więc spojrzawszy na zegarek, powiedziałem:

— Na mnie czas, życzę panom powodzenia.

Lepik nie dał się jednak zaskoczyć. Przytrzymał mnie za rękaw, uśmiechnął się krzywym, lisim uśmieszkiem, w którym była uniżoność, pokora, lecz i pogarda jaką mnie w duchu darzył.

— Mam coś dla pana — zaczął szperać w aktówce wypchanej papierami. — Proszę to traktować jako kontynuację mojej do pana sympatii. — Wyjął cieniutki tomik z wykaligrafowanym tytułem i podając mi dodał: — Nakładem autora. Za lat dziesięć, dwadzieścia można będzie otrzymać za niego miliony.

Książeczka była malutka, z tekstami napisanymi na maszynie. Nosiła tytuł „Tańce amerykańskie". Lepik długopisem zamaszyście napisał na stronie tytułowej dedykację: „Kochanemu redaktorowi Piotrowi Sokalowi od autora na pamiątkę dozgonnej przyjaźni". Pismo było niespokojne, chybotliwe, natomiast podpis wypadł imponująco.

Mógłbym wybuchnąć śmiechem, zakpić, powiedzieć jakąś złośliwość, albo po prostu wyrzucić wiersze do pierwszego kosza na śmieci. Pomyślałem jednak, że nawet wariat jest godny współczucia, a hochsztaplerstwo to przecież także odstępstwo od normy. Przerzucając kartki, powiedziałem:

— Wie pan, z tą dozgonną przyjaźnią, to pan przesadził. Jestem sceptykiem, we wszystkim dopatruję się ukrytych znaczeń, nikomu nie wierzę, każde zjawisko poddaję analizie. Przyjaźń, jako uczucie, także podlega szczegółowej ocenie. Otóż, tak między nami, nie stać mnie na tego rodzaju luksus. Mówiąc jaśniej, nie znoszę żadnych uczuć. Nawet nie potrafię nienawidzieć.

Lepik i Bryndza popatrzyli na siebie, w końcu ten ostatni burknął:

— Pederaści się kochają.

Rozśmieszyło mnie to, więc nie zważając na przechodniów zacząłem głośno chichotać, w końcu śmiać się na głos. Obaj poeci, początkowo zbici z tropu, zaczęli mi wtórować.

— On ma rację — powiedział przez łzy Lepik. — Pedały kochają się naprawdę.

— Nie widzę... — usiłowałem się powstrzymać. — Nie widzę związku...

— To przenośnia, metafora — zahuczał Bryndza.

Mijający nas przechodnie oglądali się, lecz w ich twarzach nie było nagany. Widocznie brano nas za serdecznych przyjaciół spotykających się przypadkowo na ulicy po długim niewidzeniu się.

— Wy, poeci — mówiłem — potraficie zaskakiwać. Już czuję co mnie czeka w czasie lektury „Tańców amerykańskich". Nie mogę się wprost doczekać. Życzę panom szczęścia. Moje uszanowanie.

Lepik trzymając moją rękę, przybliżył się do mojego ucha i powiedział:

Niech pan nie przegapi szansy. Do widzenia.

Zacząłem iść w dół ulicy, w kierunku przeciwnym do tego, w jakim poszli obaj poeci. Sprawy, o których mówił Lepik znałem od kilku dni, lecz jeszcze się nad nimi nie zastanawiałem, nie miałem czasu.

Wiersze wyrzuciłem do najbliższego kosza na śmieci.

(cdn.)

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

BAJKI PRAWDZIWE

W jednym z ostatnich numerów magazynu ilustrowanego **„Film"** przeczytałem informację, zatytułowaną: „Wstrzymano produkcję „Na srebrnym globie". Tak więc nie będziemy oglądali polskiego przeboju astronautycznego, spóźnionego — co prawda — o kilkadziesiąt lat. I gdyby decyzję o zatrzymaniu produkcji powzięto właśnie dlatego, że treść książki Żuławskiego odbiega od tego, co ludzie zastali na Księżycu, można by powiedzieć — cóż, najpierw się chłopcy wzięli za film, a później przeczytali „Na srebrnym globie" — powieść z lat młodych naszych ojców. Albo, że nie czytali prasy, która szczegółowo informowała o pobycie pierwszych ludzi na Księżycu.

Produkcję wstrzymano jednak z innych powodów. Ze wspomnianej informacji można bez trudu wnosić, że reżyser Andrzej Żuławski, zresztą krewny autora adaptowanej powieści, po prostu przekroczył dowolnie i drastycznie limity finansowe, lekceważył sobie wszelkie terminy związane z realizacją. Najpierw zażądał 54 i pół miliona złotych. Otrzymał je, a ponieważ kręcił kiedy chciał i chyba jak chciał, więc mu zwiększono dotację na zwietrzały film do 71 milionów złotych. Wtedy dopiero zaczął wydawać pieniądze w tempie, które w końcu zainteresowało kierownictwo resortu.

Spóźniony o rok film, ale zrealizowany tylko w 70 procentach, kosztował już 58 milionów złotych, a to znaczy, że na całość należałoby wydać 110 milionów złotych, a więc przeszło dwa razy więcej. Resort doszedł wreszcie do wniosku, że trzeba tę imprezę zlikwidować po stracie 58 milionów złotych. W suchej informacji organu, bardzo zbliżonego do naszych sfer filmowych, darmo szukać jakiegoś stanowiska, oceny, stosunku do ekipy, czy kierownictwa zespołu „Pryzmat", które uchyliło się od jakichkolwiek gwarancji, że film w końcu powstanie. Może by ludzie kupili bilety, żeby choć na ekranie zobaczyć krajową rakietę kosmiczną. Blisko 60 milionów poszło w błoto, a komentarza na temat odpowiedzialności i ze świecą nie ma po co szukać. Powie ktoś, że to bajka. Owszem, ale prawdziwa i nie jedyna, jaką chciałbym opowiedzieć.

Na pocieszenie dodam, że następne nie są tak kosztowne, choć równie nieprawdopodobne. Pewna pani — jak doniósł **„Głos Pomorza"**, kupiła sobie puszkę głowizny wołowej w kołobrzeskim sklepie przy ulicy Walki Młodych. Po otwarciu stwierdziła, że jest to kapusta z grochem. Ponieważ obowiązuje u nas ponoć zasada — klient nasz pan — zgłosiła reklamację na adres producenta. Otrzymała odpowiedź następującej treści:

„Gdyby obywatelka stwierdziła po otwarciu puszki, że jest ona pusta, to moglibyśmy obywatelkę nawet przeprosić. Na szczęście, w opisanej sytuacji nie istnieją po temu żadne podstawy".

Wynika z tego, że w puszce z sardynkami możemy znaleźć ser topiony, w miejsce pulpetów — groszek zielony, a zamiast gulaszu odkryjemy szynkę ekspортową, lub kawior, czy marynowaną cebulkę. Etykieta nic nie znaczy. I taka to bajka, smutna, bo prawdziwa.

A propos etykieta — pomyliłem się, etykieta znaczy więcej niż w naszych demokratycznych czasach pomyśleć można. W Cieszynie wydrukowano takie oto zaproszenie:

„Miejski Dom Kultury Cieszyn, Rynek 12, uprzejmie zaprasza Pana Prezesa z Małżonką na Bal Prezesów i Dyrektorów".

Każdy egzemplarz zaopatrzono w pieczątkę cieszyńskiego Domu Kultury. Ta prawda wygląda jak bajka z wyższych sfer, skupionych wokół „Trędowatej" z tym jednak, że na tamte bale mogli przychodzić hrabiowie, baronowie i wszystkie karmazyny. Skąd takie bariery w czasach równości? Bajkę trzeba koniecznie poprawić, na balach w Miejskich Domach Kultury powinni mieć prawo bywania przynajmniej wojewodowie i ministrowie wraz z zastępcami. Powinniśmy wzbogacać nasze życie salonowe.

W Kielcach, na przykład, otwarto niedawno temu salon konfekcji młodzieżowej o wdzięcznej i zachęcającej nazwie — „Serdaczek". Otwarto uroczyście z udziałem znakomitych gości. Tłumy także uczestniczyły, ale przez szybę na tyle czystą, że doskonale było widać, jak owi goście wykupują co lepszą konfekcję. Tę bajkę, prawdziwą niestety, należy chyba zdemokratyzować. Na początek niech wchodzą do salonu konfekcji, mody, czy mebli: jeden czynnik i jeden zwykły człowiek. To już będzie coś.

Celnicy obsługujący wodolot na trasie Szczecin — Kopenhaga skonfiskowali pasażerom 1.990 butelek z wódką. Można pomyśleć — jakim cudem tyle wódki w jednym, małym wodolocie, przecież to bajka! Jeżeli jednak wyjaśnię, że chodzi o naszych kibiców sportowych, jadących na mecz Dania — Polska, każdy powie — to żadna bajka, ale życie, ciężkie życie krajowego kibica. Zgoda, ale proszę pamiętać, że te blisko dwa tysiące butelek zawierało wyłącznie wódkę żytnią. Cóż tu jest więc bajką? Narzekania rodaków na małą ilość gatunków wódki.

A teraz opowiem bardzo ciekawą bajkę. W Bieszczadach rozpleniły się wilki. Jest ich, jeśli wierzyć myśliwym, ponad 200. Bestie są chytre i okrutnie mądre. Jeżeli nie mądrzejsze od ludzi, to na pewno od myśliwych. Urządzili oni, znaczy myśliwi, wielką obławę, a było ich kilkudziesięciu. Pukali, każdy z obu luf, przez cały dzień i ubili jednego wilka. Sprytne bestie zemściły się straszliwie, następnego dnia zginęło bez śladu 60 owiec. Myśliwi obliczyli szybko — jeżeli za jednego wilka trzeba poświęcić 60 owiec, to za 200 wilków — wypadnie 12 tysięcy, a więc polowania są bez sensu. Ekonomicznego — rzecz prosta. Jak się państwo domyślacie — była to smutna bajka o baranach.

„Sztandar Ludu" powiadomił tłustym, dwukolorowym drukiem, że instytucja nazwana w skrócie WPGKIM z Białej Podlaskiej proponuje sprzedaż karawanu konnego. Warunki sprzedaży przedstawiają się następująco: jednostka fizyczna może otrzymać ów sprzęt codziennego użytku za opłatą częściową, natomiast jednostka uspołeczniona — bezpłatnie. Podział jednostek na fizyczne i nie fizyczne, czyli uspołecznione już sam przez się jest prawie bajkowy, a cała opowieść nosi charakter wyjątkowo optymistyczny, zapewnia bowiem ostatnią przejażdżkę karawanem konnym jednostkom nie fizycznym.

W bajkach, które dotąd opowiedziałem, brakowało wyraźnie momentów nieprawdopodobnych, czegoś, co się w zwykłej ludzkiej głowie nie mieści. Brak ten z powodzeniem wyrównuje sensacyjna powieść odcinkowa, drukowana w magazynie „Relax". Oto fragment rozdziału pierwszego:

„Zgasiła papierosa i wstała z krzesła. Zupełnie naga stanęła przed lustrem. Powoli zasunęła firanki. Rozpięła sukienkę. Zdjęła stanik i pończochy. Przeciągnęła się i podeszła do okna".

I oto mamy bajkę z cudem — zupełnie nadzy mają dzięki niej wielką przyszłość w zdejmowaniu różnych części garderoby, a kto wie — może i biżuterii?

Ostatnio dużym powodzeniem cieszą się najprawdziwsze bajki z gatunku: uwaga, nie wiadomo, kto nas może usłyszeć. Reporter naszego **„Ekspressu Ilustrowanego"** dowiedział się w przedsiębiorstwie ogrodniczym, że nie dowie się, jakie gatunki kwiatów będą sadzone w ciągu roku na łódzkich skwerach, bo to tajemnica służbowa. Informacji może ewentualnie udzielić dyrektor. Wypadek bynajmniej nie odosobniony, warszawski reporter **„Ekspressu Wieczornego"** także nie otrzymał odpowiedzi na to samo pytanie. Z tej bajki wynika prosty morał dla nas, zwykłych śmiertelników: jeżeli będziecie państwo spacerowali w parkach, czy na skwerach, patrzcie w niebo, nigdy zaś w kwiaty — a nuż tam zainstalowano radary, albo rakiety ziemia — powietrze — pustka w głowie.

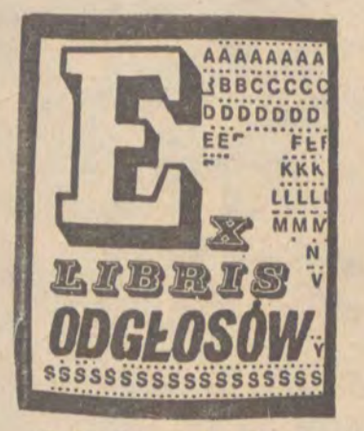

CZWARTACY

W lutym 1944 roku w piśmie Związku Walki Młodych „WALKA MŁODYCH" ukazał się artykuł, w którym można znaleźć następujące słowa: „Kim byli? Dziećmi Warszawy, synami ludu warszawskiego, związanymi nierozerwalnie właśnie z ową biedotą miejską. Oni to, gdy ważyły się losy powstania, postawą swą zadecydowali, a odwagą i poświęceniem obronili rewolucję".

Te słowa dotyczyły słynnych „Czwartaków" z 1831 roku, ale napisane były z myślą o żołnierzach Szturmowego Batalionu Armii Ludowej im. „Czwartaków". Batalion ten powstał w październiku 1943 roku, najpierw jako grupa do specjalnych zadań, którą dowodził „Konrad" — Lech Kobyliński, dziś profesor Politechniki Gdańskiej. Później „specgrupa' przekształciła się w pluton, kompanię i wiosną 1944 roku stała się batalionem.

W grudniu 1943 roku w szkoleniowym piśmie ZWM — „Poradnik Oświatowy" opublikowano artykuł o powstaniu listopadowym z 1831 roku. Artykuł ten był omawiany w kołach ZWM i właśnie wtedy członkowie plutonu do specjalnych zadań wystąpili z wnioskiem o nadanie im imienia słynnych „Czwartaków". Tak też się stało.

Książka i Wiedza — już po raz piąty — dostarcza nam wspomnienia byłych żołnierzy Szturmowego Batalionu AL im. „Czwartaków". Jest to wydanie uzupełnione i poprawione. Wspomnienia swoje byli żołnierze „Czwartaków" spisywali po 20 latach od wydarzeń, których byli uczestnikami i autorami. A pamięć — jak wiadomo — nie jest najdokładniejsza. Nie zawsze też zachowały się odpowiednie dokumenty. Trzeba więc spisane wspomnienia konfrontować, dyskutować z innymi i dlatego każde nowe wydanie wspomnień „Czwartaków" jest tym cenniejsze, że bardziej dokładne, uwiarygodnione. A lektura to bardzo interesująca, ciekawa i pożyteczna. Zalecona też młodzieży licealnej przez Ministerstwo Oświaty, gdyż żywe i interesujące wspomnienia są najlepszą lekcją historii.

„CZWARTACY" — Wspomnienia byłych żołnierzy Szturmowego Batalionu AL im. „Czwartaków" 1943—1945, Książka i Wiedza, Warszawa 1977, str. 512, cena zł 80,—

LISTY DAWNYCH POLAKÓW

„Listy staropolskie, zwłaszcza z pierwszej połowy XVII wieku, to dobra literatura, dotychczas za mało znana. Jest w nich czystość języka, naturalność i celność stylu, poszanowanie form, a zarazem ujmująca prostota — i to jako cechy powszechne, nie wyjątkowe (...). A na kulturę korespondencji złożyć się musi nie tylko dojrzałość języka, ale kultury ogólnej i obyczajów. Nic też wierniej niż listy nie odbija i nie przechowuje stylu życia, a w tej epoce w Polsce zwłaszcza stylu życia publicznego. Wątkiem ciągle powracającym jest tu żywa historia, mówią ludzie ówcześni własnym głosem." — tak pisze we słowie wstępnym do przygotowanych przez siebie „Listów staropolskich z epoki Wazów" Hanna Malewska — historyk — jak sama siebie określa — z zamiłowania i wykształcenia.

XVII wiek w naszej historii nie należy do najspokojniejszych, takich okresów w ogóle mieliśmy mało, a mimo to, mimo burzliwych dziejów epoki Wazów zachowało się z tego czasu sporo listów. Nie jest to przypadkiem. Listy bowiem w tym czasie odgrywały ważną rolę w życiu społecznym. Stanowiły sposób komunikowania się społecznego, sposób wymiany poglądów, miejsce dyskusji i polemik. Można bez przesady powiedzieć, że listy z tego okresu zastępowały gazety, pisma i czasopisma.

Jest jeszcze jedna istotna sprawa. Listy z tamtego czasu pisywane były po polsku. Dziś dla nas może to wydawać się czymś normalnym, ale wówczas, kiedy w szkole uczono po łacinie, powszechność języka polskiego w społecznej komunikacji ma zupełnie inne zaczenie, inną wymowę.

Hanna Malewska owe listy znalazła w Kórniku, w tamtejszym archiwum. A są to listy pisane do Zygmunta III Wazy przez jego ministrów, wodzów, przez ówczesną arystokrację. Są więc w tym zbiorze listy Jana Karola Chodkiewicza, Jana Firleja, Lwa Sapiehy, Janusza Radziwiłła, Zbigniewa Ossolińskiego, Stanisława Koniecpolskiego i innych. Są listy pisane w sprawach publicznych i listy całkowicie prywatne. W sumie lektura niezwykle interesująca.

Hanna Malewska — „Listy staropolskie z epoki Wazów", PIW, Warszawa 1977, str. 376, cena zł 65,—

PODRÓŻ PO WŁOSZECH

Sezon urlopowy i turystyczny trwa, tych więc czytelników, którzy wybierają się w podróż do słonecznej Italii gorąco namawiamy do zapoznania się z książką „Podróż po Włoszech". Jej autorem jest Guido Piovene, zmarły w 1975 roku pisarz i dziennikarz włoski. Studiował w Mediolanie, w tym też mieście zaczął pracować jako korespondent prasowy najpierw „Corriere della Sera", potem „Stampy". W roku 1931 zadebiutował tomem opowiadań. W roku 1962 ukazała się u nas nakładem PIW jego powieść „Litość przeciwko litości".

Książka „Podróż po Włoszech" ma swoją krótką historię. Otóż w latach pięćdziesiątych Radio Włoskie zaproponowało Guido Piovene cykl audycji poświęconych regionom Włoch. Piovene propozycję przyjął, odbył podróż po całych Włoszech i przygotował ów cykl audycji radiowych. Słuchaczom radia włoskiego tak bardzo przypadły one do gustu, że to właśnie na ich prośbę autor przygotował wydanie książkowe kolejnych odcinków radiowych.

Obecnie, dzięki PIW i my możemy zapoznać się z książką „Podróż po Włoszech". Jest ona zbiorem reportaży przedstawiających przeszłość i teraźniejszość poszczególnych włoskich miast i regionów, ukazujących piękno zabytków, ale także współczesny pejzaż przemysłowy. Pisze Piovene o ludziach, ich życiu i ciekawych obyczajach, wiele miejsca poświęca urokom włoskiego krajobrazu.

Powtarzamy jeszcze raz: kto się wybiera w tamte strony, niechże najpierw odbędzie podróż wspólnie z autorem owej atrakcyjnej i uroczej książki. A i tym, którzy zostają w Polsce przyniesie ona wiele wiadomości o tym pięknym kraju.

Guido Piovene — „Podróż po Włoszech". Wybór i przekład: Z. Ernstowa, PIW, W-wa 1977, str. 350, cena zł 90,—

O CZĘŚCIACH ZWIERZĄT

Nie jest to co prawda lektura wakacyjna, ale tegoroczne zimne lato może skłonić niektórych Czytelników do sięgnięcia po poważniejsze dzieła. Informujemy więc, że w „Bibliotece Klasyków Filozofii", której patronuje Państwowe Wydawnictwo Naukowe ukazał się traktat Arystotelesa „O częściach zwierząt". Jest to traktat anatomiczno-fizjologiczny, w którym Arystoteles wykazuje „Jak poszczególne części organizmu zwierzęcego dokonują właściwych czynności, jak czynności te od siebie wzajemnie zależą i gdzie biorą początek".

Arystoteles uważany jest powszechnie za twórcę biologii. I choć już w dziełach Hipokratesa można znaleźć zaczątki tej nauki to jednak stanowiły one tylko dział medycyny i służyły celom praktycznym. Dopiero właśnie Arystoteles nadał problemom biologicznym charakter samodzielnej dyscypliny naukowej. Wkład Arystotelesa w rozwój biologii doceniło wielu wybitnych naukowców. Darwin tak powiedział o nim: „Linneusz i Cuvier byli dla mnie dwoma bóstwami chociaż na zupełnie odmienny sposób. Lecz oni sami byli ledwie tylko uczniami w porównaniu ze starym Arystotelesem"

Zachęcamy do lektury traktatu „O częściach zwierząt", bo ta część twórczości wybitnego filozofa jest mniej znana. A i warto porównać to, co o zwierzętach pisał przed wiekami Arystoteles z osiągnięciami nauki współczesnej.,

Arystoteles — „O częściach zwierząt", przekład, wstęp i komentarz: P. Siwek, PWN, str. 244, cena zł 65,—

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

PIÓRKO I OBCAS IBISA

Redaktor Ibis, słynny Ibis z „Życia Warszawy", pogromca festiwali piosenek i causer konferencji prasowych, na tychże festiwalach jest dla mnie szczególnym zjawiskiem. Przyznam się, że zawsze byłem pod jego urokiem, gdy przemawiał — czy to w Sopocie, czy w Opolu, czy w Łodzi... Miał zawsze tę niewzruszoną pewność siebie, która zniewalała setki dziennikarzy z całego kraju. Miał też za sobą tę znakomitą firmę dziennikarską, jaką niegdyś było „Życie Warszawy". Splendor najlepszej — niegdyś — gazety trzydziestolecia spływał na redaktora Ibisa.

Był więc zawsze, tradycyjnie i od lat, wybierany na festiwalach „dziekanem korpusu dziennikarskiego". I mówił, pouczał, gromił — słowem organizował opinię publiczną dziennikarzy z tzw. terenu.

Tak było przed laty, gdy, jako młody jeszcze dziennikarz, poddałem się całkowicie urokowi i darowi przekonywania redaktora Ibisa. Fascynował, gdy mówił. Ale kiedy zapragnąłem nieco poczytać perły refleksji mojego idola, okazało się, że... Głupia sprawa.

Po Ibisie nie została żadna fascynująca książka, żaden wielki cykl publicystyczny... ot, parenaście sprawozdań z parunastu festiwali, które brzmią dziś pusto i nijako, ot, parędziesiąt zgrabnych felietoników o śmiesznostkach, bykach i byczkach współczesnej polszczyzny.

Otóż, gdy zechciałem odświeżyć w sobie dawne fascynacje Ibisem, czytając jego teksty, okazało się, że urok i dar przekonywania pryskał, gdy brakło postaci z bródką, gestu, konferencji, rac dowcipu... Słowem Ibis przejdzie do historii podobnie jak Franc Fiszer. Wiadomo, że był taki, że coś tam naprawdę umiał, na czymś się znał, o czymś dyskutował, ale w rzeczywistości nie bardzo dokładnie wiadomo, dlaczego mówi się o nim „słynny".

Starsi panowie zachwycają się niegdysiejszym sex-appealem Zuli Pogorzelskiej, a my, patrząc dziś na stare zdjęcia aktorki, mówimy: „co oni widzieli w tej tłustawej, podkasanej matronie?" Podobnie i my, po latach, wspominając dawne festiwale piosenek, mówić będziemy o słynnym Ibisie, który brylował od Sopotu do Opola, gromił każde jury (aby wreszcie sam w jury zasiąść), perorował i dowcipkował... A nasze wnuki wezmą do ręki te parę wycinków z „Życia Warszawy" i powiedzą: „co oni widzieli w tym..." Zresztą skąd ja mogę wiedzieć, co dokładnie powiedzą.

A Ibis tak już sklasyczniał, że w młodzieżowym piśmie ma rubryczkę, w której ostatnio z upodobaniem skopał pewną piosenkarkę. Obrzydliwość tego tekstu zrobionego z maestrią damskiego boksera, polega na tym, że dawne bożyszcze tłumów przebywa za granicą i bronić się nie może. Zresztą trudno bronić się przed wyzwiskami i drwiną. Obrzydliwość tego tekstu polega również i na tym, że trzy piosenki nadane przez lokalną rozgłośnię radiową w żadnym wypadku nie powinny stanowić pretekstu do tak zaciekłych razów. Ale widać Ibis przypomniał sobie swoje stare boje i raz jeszcze odezwał się w nim lew.

O ile pamiętam, Ibis przed laty należał do przeciwników piosenkarki, za którą wówczas szalała cała Polska. I wówczas była to postawa budząca szacunek, nawet jeśli jej źródłem była tylko przekora. Ale dziś? Dziś jest to tylko bezmyślne, tępe kopanie leżącego, za którym nikt się nie ujmie. Obrzydliwy popis damskiego boksera, który dla uciechy gawiedzi bierze kogoś pod flek.

WIDOK

LEWYM OKIEM.

ANIOŁ W OKRESIE SZCZYTU

Jeżeli jakieś dobro — jakaś rzecz, czy usługa, czy cokolwiek występuje w ilości, która nie może zaspokoić wszystkich pragnących tego właśnie dobra, to ktoś musi wymyślić kryteria selekcji: komu dać, komu nie dać, kogo dopuścić, kogo odsunąć, kogo w ogóle pominąć.

Można ustalić kolejność w zaspokajaniu danej potrzeby, czy też danego zapotrzebowania. Kolejność też musi być oparta konsekwentnie na wyraźnym kryterium: podług wzrostu lub podług wieku, według alfabetu, czy może według kolejności zgłoszeń, czy jeszcze inaczej. Ale to wszystko teoria. Czasem ktoś przeceni moc działania teorii i gniewa się, kiedy życie nie chce pasować do zasad. A także wtedy, kiedy ludzie przestają się liczyć z zasadami i łamią wszelkie kolejności, to znaczy łamią porządek.

Socjolog jedzie pociągiem w okresie urlopowego szczytu i przeraża go, a także wielkim napawa oburzeniem, zachowanie się ludzi. Już przy wsiadaniu do wagonu „sytuacja przypomina zwierzęcą walkę o przetrwanie", a przecież chodzi tu o coś znacznie mniej ważnego niż przetrwanie. No pewnie. Człowiek z zasadami nie powinien pchać się do wagonu, tylko że jak się nie będzie pchał, to po prostu pociąg odjedzie bez niego, a jego urlop zaczyna się właśnie dziś i wyboru pomiędzy środkami przewozowymi nie ma. Człowiek z zasadami nie narazi się więc na zarzut zwierzęcej walki, pod warunkiem, że będzie siedział w domu.

Socjolog oburzył się, że ktoś młodszy z miejscówką nie ustąpił siedzącego miejsca starszej pani bez miejscówki. Socjolog piętnuje niekulturalne słowa młodego człowieka: „Nie po to stałem po miejscówkę od drugiej w nocy, żeby teraz się nad każdym litować". Nie wiem, czy socjolog też stał od drugiej w nocy, gdyby tak było, to pewnie słowami tymi przestałby się gorszyć. Wnuczek starszej pani mógł też postać w nocy i zapewnić babci siedzące miejsce. Byłem świadkiem w NRD, kiedy siedząca staruszka bez jednego słowa wstała, gdy zjawił się tryskający zdrowiem młodzieniec z biletem na to właśnie miejsce. Nie byłaby idealną taka sytuacja, w której z ogromnym wysiłkiem zdobyta miejscówka dawałaby mi pewną tylko szansę podróżowania na siedząco, bo a nuż zjawi się starsza pani, której moje trudy nie obchodzą, a miejscówka z racji wieku nie obowiązuje.

Socjolog z oburzeniem pisze, że wyrzucono siłą z przedziału dwóch mężczyzn, bo nie mieli miejscówek. A jednej pani — też bez miejscówki — nie wyrzucono, bo była „starsza". A fe, kto to słyszał uciekać się do siły! „Zachowanie osób w przedziale świadczy o tym, że wartością nadrzędną dla nich jest egoistycznie pojmowany interes, którego symbolem materialnym jest posiadanie siedzącego miejsca za wszelką cenę. Własna wygoda, a nie respektowanie zasad moralnych, daje im poczucie równowagi psychicznej". Ale to chyba nie tak! Chyba zasady moralne naruszyli ci, którzy weszli bez miejscówek i nie ustąpili inaczej, jak przed siłą. A może nawet ci, którzy wpuścili do wagonu (nie do przedziału, tylko do wagonu) ludzi bez miejscówek, czyniąc to być może nie bezinteresownie, a także ci, którzy sprzedali wcale nie tanią miejscówkę, każąc po nią stać godzinami w kolejkach, a wcale nie zapewnili świadczenia, które sprzedali, ba — nawet nie dopilnowali, żeby nad siedzeniami były widoczne i kolejne numery (co za złe duchy tasują wiecznie te numery w najdowolniejszy melanż?).

„Moralne jest odprowadzenie rachitycznego pana z przedziału do toalety, natomiast przyprowadzenie z toalety obcej staruszki (na jedno z miejsc w zajętym przedziale — przyp. mój), byłoby co najmniej nietaktem". Niedobrze jest żądać od ludzi anielstwa. Zresztą nawet anioł — gdyby stał osiem godzin nocą i chłodnym świtem w kolejce po bilet, na miesiąc przed terminem wyjazdu, gdyby walczył w tej kolejce z chuliganami i cwaniakami, z kolejarzami kupującymi za małą prowizję pozą kolejką, gdyby siłą musiał wyrzucić ze swego miejsca jeszcze jednego chuligana — nawet ten anioł nie szukałby po pociągu staruszek, żeby im swojego miejsca ustąpić. Byłby zaś wstrętnym obłudnikiem, gdyby — będąc sam na przykład starszym panem — przyprowadził taką staruszkę i zażądał od innego młodzieńca, siedzącego na miejscu zdobytym uczciwie i z tym samym trudem, żeby wstał w imię zasad moralnych i żeby nie był brzydkim egoistą.

Cały czas cytuję zdania z artykułu Erwina Kuczki w „Kulturze". Myślę, że autor tego artykułu rzadko podróżuje. Raz wsiadł i zobaczył Apokalipsę. Ta Apokalipsa była przez wiele lat moim „chlebem powszednim", jako wiecznie delegowanego urzędnika. Kuczka pisze: „Ludzie pozostawieni własnej inicjatywie i zaradności stają się brutalni, tam, gdzie prawny system instytucjonalny zawodzi i przestaje być skuteczny, pojawia się bezprawie".

A na koniec pisze Kuczka: „Wciąż nie dopracowaliśmy się jednolitych wzorów kulturowych, które odpowiadałyby naszym społecznym ambicjom". Jest to przygana pod adresem wszystkich, czyli nikogo. Nam zaś wydaje się raczej, że wciąż jeszcze nie dopracowaliśmy się skutecznego systemu instytucjonalnego, który by nie zawodził i nie zostawiał ludzi własnej zaradności.

ĆWIEK

PROPOZYCJE

GEHENNA Z RADIEM

Są ludzie, którzy słuchanie radia przedkładają nad telewizję i inne rozrywki, nie traktując zresztą radia tylko i wyłącznie jako formy rozrywkowego spędzania czasu. Radio zresztą stara się o to, aby serwować swoim słuchaczom coraz to ciekawsze audycje, czego przykładem może być między innymi niezwykle popularne „Lato z radiem" i podobnie interesujące „Sygnały dnia". Jeśli więc pozbawi się miłośnika radia słuchania jego ulubionych audycji, to cierpi on okropnie. Jeden mój znajomy, który jest zapalonym miłośnikiem słuchania radia, zaopatrzył się nawet w trzy tranzystorowe odbiorniki, aby nigdy nie być pozbawionym swoich ulubionych audycji. Takiej przezorności nie wykazała jednak Małgorzata KT. z Kolonii Rszew koło Konstantynowa Łódzkiego.

Małgorzata KT. z Kolonii Rszew koło Konstantynowa Łódzkiego popełniła jeszcze jeden błąd życiowy, a mianowicie zawierzyła nazwie „PRECYZJA". Myślała ona, że słowo „PRECYZJA" jest synonimem czegoś niezwykle, nawet drobiazgowo dokładnego, skoro więc ŁÓDZKA USŁUGOWA SPÓŁDZIELNIA PRACY nosi to miano, można jej zaufać. I oddała w zakładzie usługowym ŁUSP „PRECYZJA" przy ulicy Rąbieńskiej 8 w Łodzi do naprawy radioodbiornik marki „Śnieżnik". Stało się to 12 sierpnia 1976 roku. Od tej pory właśnie zaczęła się gehenna z radiem.

Przywykliśmy już do tego, że w różnych zakładach usługowych proponuje się nam wykonanie napraw w terminach dość odległych, a niekiedy nawet fachowcy są gotowi usługę wykonać, pod warunkiem wszakże, że my sami poszukamy części zamiennych. Niedługo dojdzie do tego, że specjalistom od napraw trzeba będzie starać się również o narzędzia. Toteż, kiedy w jakimś zakładzie usługowym usłyszymy, że na przykład radioodbiornik gotowy będzie za 4 dni nie wierzymy własnym uszom, zdaje się nam, że wygraliśmy los na loterii i w ogóle jesteśmy dzieckiem szczęścia, któremu już od tej pory wszystko będzie się udawało. Ale nie wiemy jeszcze o tym wcale, że radość jest przedwczesna, fachowiec bierze nas na słów lep, a zamiast dzieckiem szczęścia okażemy się nieprawdopodobnym pechowcem. I tak było z Małgorzatą KT.

Chodzenie na ulicę Rąbieńską 8 stało się dla Małgorzaty KT. i jej męża niemal już zwyczajem. Dzień, w którym tam nie byli uważali za stracony, ale nie dlatego, że tak polubili urzędującego tam radiotechnika. Nie, ciągle bowiem mieli nadzieję, że radio marki „Śnieżnik" jest już zreperowane i będą mogli posłuchać rano ulubionych „Sygnałów dnia". Ale nic z tego. Dopiero pod koniec lutego usłyszeli, że 3 marca 1977 roku radioodbiornik będzie ostatecznie gotowy. Ale było to zwyczajne branie na słów lep, i tym razem dali się nabrać. Było coś w tym radiotechniku, że mu się wierzyło, choć wątpliwości zaraz kiełkowały w mózgu, i sercu i rozrastały się na kształt wielogłowej hydry. Kiedy przyszli wyznaczonego dnia, okazało się, że wątpliwości były uzasadnione, radiotechnik oświadczył bowiem, że części nie posiada i oddaje im radio nie naprawione, w całkowitym rozkładzie zresztą. Radia w takim stanie oczywiście nie przyjęli i mieli rację.

Ale na tym gehenna z radiem się nie skończyła. Przeciwnie, nastąpił jej akt drugi. Bo oto Małgorzata KT. udała się z interwencją do dyrekcji ŁUSP „PRECYZJA", która mieści się w Łodzi przy ulicy Piotrkowskiej 61. Tam potwierdzono tylko opinię, że radia zreperować nie można, bo nie ma części. Małgorzata KT. jednakże radia nie odbierała, wychodząc z założenia, że skoro tyle czasu już trwa jego naprawa to może jeszcze te kilka dni poczekać. I istotnie. Jej upór zostaje nagrodzony. 21 maja 1977 roku otrzymuje radio marki „Śnieżnik" naprawione, które jednakże przestaje grać po kilku minutach. Zawozi więc je ponownie na ulicę Rąbieńską 8 do tegoż samego warsztatu ŁUSP „PRECYZJA" i rozpoczyna tym gehenny z radiem akt trzeci. W akcie tym występują już najwyższe władze ŁUSP „PRECYZJA" ale skutek ich działania jest nadal nijaki, bowiem Małgorzata KT. radia nie posiada, a proponowany zwrot kosztów ciągnących się już prawie rok napraw ekwiwalentu za zwłokę i koszt samego radia, które nadal jest niesprawne nie urządza jej w pełni, gdyż jest jej po prostu potrzebne radio. „Jeśli otrzymam odszkodowanie — pisze Małgorzata KT. w liście do redakcji — połowę sumy przeznaczę chętnie na cel dobroczynny, ale tylko połowę, bo muszę pomyśleć o nowym radioodbiorniku".

Małgorzata KT. napisała list 12 lipca 1977 roku, a więc na miesiąc przed upływem roku jej gehenny z radiem i „PRECYZJĄ". Oczywiście jestem w stanie sam sobie wyliczyć wszystkie obiektywne powody, dla których radia nie można było zreperować. Wiem, że niewątpliwie „PRECYZJA" ma kłopoty kadrowe, materiałowe, lokalowe, zaopatrzeniowe, nie dysponuje dobrze wyposażonym parkiem maszynowym, brakuje jej narzędzi oraz niektórym pracownikom chęci do pracy. Ale kiedy taż „PRECYZJA" zawiera z klientem umowę o usługę, nie uzależnia jej od tych wszystkich obiektywnych trudności, nie wspomina o tym w umowie, że usługę wykona pod warunkiem że... Skoro więc nie wspomina, to niechże załatwi wreszcie sprawę jednego odbiornika radiowego, której to sprawy — mimo zaangażowania się w nią władz spółdzielczych — blisko od roku nie można załatwić. Albo proponuję zmienić nazwę spółdzielni, bo jakaż to PRECYZJA?

MARCIN RODAK

magazyn

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

SAMOCHÓD A SPRAWA POLSKA

Przeczytałem właśnie w prasie, że liczba właścicieli samochodów rośnie u nas jak lawina, o czym zresztą każdy wie, kto tylko usiłuje przejść na drugą stronę ulicy. Nie wie jednak o malejącej liczbie członków Automobilklubów. A to jest właśnie historyczna prawidłowość. Kiedy po ulicach naszych miast spacerowało więcej koni i zwierzyny rzeźnej, a samochody budziły sensację, każdy właściciel czterech kółek zrzeszał się chętnie w Automobilklubach. Towarzystwo było nieliczne, a przede wszystkim arystokratyczno-elitarne, słowem — wyróżniało. Dzisiaj natomiast zrzeszanie się właścicieli syrenek, trabantów czy nawet zaporożców, mogłoby tylko przypominać związki właścicieli łysin, czy plombowanych zębów. Po co się zrzeszać, na jakiej wyróżniającej zasadzie? Każdy przecież może mieć łysinę i samochód.

Przekonanie, że każdy może, zakorzeniło się na trwałe w naszych urzędach. Doświadcza tego chyba po dzień dzisiejszy pan Mariusz S. z Piotrkowa Trybunalskiego, który od czterech lat daremnie usiłuje przekonać Wydział Komunikacji, że żadnego pojazdu mechanicznego nie posiada. Urząd wiary mu nie daje i regularnie, każdego roku, przysyła nakaz opłacenia ubezpieczenia pojazdu w PZU. Pana Mariusza odwiedził nawet komornik i to osobiście po to, żeby dokonać zajęcia mienia. Trzeba więc było płacić ubezpieczenie za nie istniejący pojazd. Sielanka trwa, żadne wyjaśnienia nie skutkują. Urząd wie, że kiedy Polak powtarza uporczywie — nie mam, to jest z pewnością akurat przeciwnie.

Wpływ milionów samochodów na nasze życie codzienne, zwłaszcza zaś obyczajowe, staje się przemożny. Kieleckie — „Słowo Ludu", które lubi się przyglądać naszym nowym obyczajom ludowym doniosło, że pewna rodzina chłopska kupiła sobie limuzynę marki syrena, no i każdej niedzieli owi szczęśliwi posiadacze tego cudu techniki wybierają się wraz z gośćmi na spacer nie przekraczający 20 kilometrów, chodzi o racjonalne wykorzystanie benzyny. Przed wejściem do samochodu wszyscy zdejmują buty. Może nie od rzeczy będzie już w tym miejscu przekazać zmartwienie proboszcza, mojego znajomego. Otóż żalił mi się ksiądz, że kiedyś, jeszcze za nieboszczki sanacji, ludzie stawali przed ołtarzem nawet boso, a dzisiaj gotowi zajeżdżać samochodami, a kopcą przed kościołem tak mocno, spalinami oczywiście, że nikt już woni kadzidła nie czuje. Świat się przewraca do góry nogami — powiedział mi stojąc przed swoim garażem.

Święte słowa! Posiadacze czterech kółek nie odróżniają na ogół samochodów od portfeli, chcą je mieć zawsze przy sobie. I to jest drugi ewenement obyczajowy spowodowany przez motoryzację. Samochodem jeździ się u nas na drugą stronę ulicy i po pietruszkę do sklepu. W dniach przedświątecznych samochody zajmują każdy centymetr przed łódzkim „Centralem" i nie daj Bóg, żeby się jakiś pieszy zaplątał w miejscu przeznaczonym dla ludzkich nóg. Coraz mniej takich miejsc.

Kierowcy wysunęli się zdecydowanie na czoło równych u nas przecież obywateli i coraz częściej bywają równiejsi. Zwłaszcza wobec prawa. Oto pan Rudolf Rabus z Bytomia. Pracował w przedsiębiorstwie komunikacyjnym na terenie miasta, a że ukradł autobus, usunięto go z pracy. Dostał ją znowu bez trudu w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Komunikacyjnym, gdzie znowu ukradł autobus, po pijanemu jak to u nas w zwyczaju bywa. Rozbił przy okazji latarnię, naruszył poważnie fasadę domu i przejechał dwóch pieszych, którzy — nie wiedzieć czemu — nawinęli mu się pod koła. Jeden z nich zmarł. Rabus wyleciał z pracy, przyjął go jednak Polski Związek Motorowy w charakterze wykładowcy, nie pytając wychowawcy młodych kadr o przeszłość. Na szczęście zapytał prokurator i tym razem Rabus wrócił pomiędzy równych sobie.

Nie zawsze jednak tak się dzieje. Oto pan Parobój z Lubaczowa, kierowca bazy PKS w Przemyślu. Jako zdecydowany przeciwnik papierkowej roboty brał pieniądze za przejazdy, nie dawał jednakże pasażerom biletów. Oszczędzał w ten sposób cenny papier. Pewnego dnia trafił na radnego Wojewódzkiej Rady Narodowej, który stanowczo domagał się biletu za przejazd. Został za to ukarany pobiciem i wyrzuceniem z autobusu. Nie wolno rozmawiać z kierowcą, za takie łamanie przepisów odpowiada się w trybie nagłym a niespodziewanym. W autobusie panem i władcą jest kierowca, a nie radny wybrany w głosowaniu powszechnym i tajnym.

Ale nie tylko w autobusie. Samochody, kierowcy, a przede wszystkim instytucje dysponujące samochodowym taborem, uzyskują coraz większy wpływ na potoczne życie obywateli, próbują — na przykład — regulować godziny naszej pracy, snu, odpoczynku. Spróbujmy odwiedzić piękne muzeum w Nieborowie, powiedzmy w niedzielę, kiedy czasu więcej. Okaże się, że do Nieborowa trzeba wyjeżdżać nad ranem, świt przeczekać przed pałacem, muzeum jest bowiem czynne od godziny 7 do 13. Personel pracowniczy wyjeżdża z pobliskiego Łowicza do muzeum o godzinie 6.30, zgodnie z rozkładem jazdy spreparowanym przez PKS i nigdy się nie wysypia. Wraca natomiast o 13, inaczej musiałby wraz ze swoimi turystami maszerować per pedes apostolorum do Łowicza, po południu i wieczorem autobusy do tej atrakcyjnej miejscowości nie chodzą. Jest w tym szaleństwie metoda, kto nam bowiem zaręczy, że żłobki nie będą czynne wieczorem, podobnie przedszkola, teatry rano a szkoły nocą?

Kierowcy dużo myślą. To naturalne. Kiedy się tak siedzi za kierownicą godzinami i nikt gęby do człowieka nie otworzy, bo mu wrzepią karę za ów instynkt towarzyski, to różne myśli przychodzą do głowy, a już najczęściej zatroskane o polepszenie swoich własnych warunków pracy. Jak — na przykład — zlikwidować koszmarne tłoki? Kierowca autobusu miejskiego numer 26 w Lublinie zaproponował zesłanie studentów do obozów pracy, wtedy będzie całkiem luźno w autobusach. Państwowy pojazd nie magiel. Wywiązała się żywa i szczera dyskusja nad wnioskiem kierowcy, nie zakończona jednak wnioskami, pękła opona i kierowca nakazał pasażerom wypróbowanie nóg, sam zaś położył się na ławce i czekał na mechaników. Specjalizacja — rzecz święta, dzięki niej nikt nikomu chleba nie odbiera. Jeżeli ten z pozoru mało ważny fakt przeanalizować głębiej, dostrzeżemy bez trudu rezultaty motoryzacji w psychice szoferów — wyraźny wzrost instynktów władczych. Od kierowcy do kierownika nie taka daleka droga.

Sytuacja jest, jak mi się wydaje, diablo poważna. Grożą nam rządy kierowników zza kierownic. Groźba ta powiększa się niemal z każdym dniem, gdyż o samochód u nas łatwiej niż to się mówi. Pod Kielcami, w rejonie Niewachlowa, założono wielki parking nowych samochodów, przeznaczonych do sprzedaży. Stoją te dwutaktowe i jeszcze lepsze cuda, ale nie zawsze tyle ile trzeba. Część ginie. Nie o to chodzi, że najczęściej wtedy, kiedy strażnik jest pijany, albo go wcale nie ma. Samochody mogą ginąć także w pełnej przytomności strażnika. Sprytny dziennikarz kieleckiego „Słowa Ludu" przeprowadził takie doświadczenie: wybrał sobie samochód, zabrał kluczyki od wozu, ale nie wyjechał tylko poszedł po świadków z milicji. Kiedy wrócili pojawił się właśnie strażnik, poprosili go więc o otwarcie bramy i spokojnie, bez słowa, wyjechali. Ten prosty zabieg, oparty niewątpliwie na szacunku dla każdego człowieka za kierownicą, powtarzają z dużym powodzeniem złodzieje. I w ten sposób rośnie nam liczba swoistych dyktatorów. Narzucają nam godziny spacerów. Bywa i tak, że jeszcze tylko nocami można spacerować po ulicach wielkich miast. Oni też przepędzają ludzi i zwierzynę z lasów, ryby z rzek i jezior, w których myją swoje mechaniczne konie, decydują o długości naszych snów, zrywają nas z łóżek nad ranem, wysadzają pośrodku drogi, straszą na białych pasach.

Zanikają dawne, elitarne Automobilkluby. Dobrze im tak. Myślę, że wielką szansę miałoby zwykle Stowarzyszenie Użytkowników Własnych Nóg, w skrócie SUWN, broniące swobodnego korzystania z kończyn dolnych, a pośrednio i głów.

Foto: Archiwum

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

FELIETONY, FELIETONY...

Wkraczamy w okres kanikuły, wybieramy się, bądź już jesteśmy na urlopach, chcemy odpocząć, być na luzie myśleć może nie tyle mniej, co bardziej rozrywkowo i relaksowo niż zazwyczaj. W życiu literackim sezon ogórkowy też ma swoje subtelne symptomy. Oto w prasie kulturalnej zauważyć się daje zwiększona porcja felietonów i reportaży (sensacyjnych najczęściej). No bo nie wypada przecież powtarzać w nieskończoność lakonicznych wieści o sympatycznym ponoć potworze „Nessie", czy odgrzewać stare historie o latających spodkach. To dobre dla prasy codziennej.

Felieton — jako że jest przejawem więzi między działalnością dziennikarską a literackim powołaniem — na większą sobie pozwala swobodę niż gatunki ściśle literackie. Przeważnie utrzymany jest w lekkiej, dowcipnej tonacji, bawi i uczy. Kiedyś, dawno temu, nazwa jego oznaczała po prostu tę część kolumny dziennika, gdzie zamieszczano rozmaite materiały krytyczne, nie tylko zresztą literackie. Obecnie felieton okupuje całe kolumny bardziej lub mniej poczytnych pism. Doszedł do takiego stopnia rozkwitu, że każda szanująca się redakcja posiadać musi kilku co najmniej stałych i kilku „dochodzących" felietonistów. Najlepszą i najsmakowitszą pożywką dla uprawiających twórczość, a nierzadko i pańszczyznę felietonową, są aktualne wydarzenia, problemy i problemiki, ale nie tylko, nie tylko... Poprzez tę właściwość ów „tygodniowy odcinek" staje się oknem otwartym na świat i jego sprawy, pozwala wyłowić i przyjrzeć się dokładniej charakterystycznym przejawom współczesności.

W felietonistyce mamy doskonałe tradycje i niebagatelne osiągnięcia. To, co wyszło spod pióra Bolesława Prusa — czy Antoniego Słonimskiego dostarcza satysfakcji i dzisiejszemu czytelnikowi. Obserwatorzy zagraniczni twierdzą nawet, że felieton stał się od dawna polską specjalnością. Pisze tak również wspomniany niedawno przez Krzysztofa Teodora Toeplitza obywatel Republiki Federalnej — Peter Bender. W piśmie „Merkur" — poświęconym „myśli europejskiej" — zauważa, że Polacy są wprost „narodem felietonistów". Być może u podstaw teoretyzującej refleksji zamieszczonej na łamach „Merkur" tkwi przekonanie, że na skłonnościach do swobodnych dywagacji nigdy nam nie zbywało, że na ogół — choć z niemałymi przecież wyjątkami — lubimy wypowiadać się w skromniejszych rozmiarami formach, że uwielbiamy dowcipy i satyrę (jakkolwiek tę ostatnią zapewne trochę mniej). No i może dlatego, że felieton, jak żadna chyba inna działalność literacka jest zwierciadłem naszego życia. Przede wszystkim materialnego — w sensie pokonywania oporu, jaki stawia nam ciągle jeszcze trochę niesforna codzienność, ale również i duchowego — vide na przykład cotygodniowe numerowane „kawałki" Hamiltona, który mienił sie był ongiś delegatem Pana Boga na Polskę.

Gdy słońce przypieka nie na żarty, felietoniści chętniej niż w pozostałych porach roku korzystają z dialogu. Być może istnieje niezbadany jeszcze związek między spływającym z nieba żarem, a długością pisanego w tym czasie zdania. Być może krótki, rwący się dialog jest tylko wyrazem przedurlopowego zmęczenia. Nawet klasyk Hamilton swe myśli o myślach (w numerze „Kultury" otwierającym kalendarzowe lato) wyraża w sposób zwięzły i refleksyjny:

„— Przyszła mi myśl...
— Gdzie?
— Do głowy...
— A do mnie przychodzi Marysia...
— Coś mi tak chodzi po głowie. Aha, przyślij mi Marysię...
— Ja tobie Marysię dzisiaj, a ty przyślij mi myśli...
— Myśli już przyszli...
— A to przecież nie myśli. Myślę, że to przyszedł Kowalski..."

Kiedy Kowalski już sobie pójdzie powrócą zapewne i myśli z urlopu. Wypoczęte, zagorzałe, zahartowane. Nim to jednak nastąpi wypoczywajcie czytelnicy. Nad rzeką, jeziorem, morzem. Albo nad zalewem. Jeśli nie nad Zalewem Wiślanym, to na pewno nad zalewem felietonowym.

CHCECIE TO WIERZCIE...

Król norweski Eystein Illrade ogłosił swego charta królem Trondheim, chcąc ukarać — mieszkańców tego okręgu za powstanie, które wybuchło pod wodzą Kettil Jamte'a.

* * *

Cesarz chiński Jung Lo (1360—1424) z dynastii Ming, skazał swego dworzanina na karę śmierci przez ścięcie — za obrazę majestatu. Skazany ów Sing Wen, nazwał cesarza zdrajcą. Tym, którzy radzili mu, by zwrócił się do cesarza o łaskę, odpowiedział: „Nie chcę łaski, nawet po śmierci będę go piętnował zdrajcą" I rzeczywiście, gdy tylko kat odciął mu głowę, szyja skazanego broczącą krwią nakreśliła na piasku chiński idiograf odpowiadający pojęciu „zdrajca". Zdumiony i przerażony Jung Lo uciekł z Nankinu i założył stolicę cesarstwa w nowym mieście — Pekinie.

* * *

Sir Williamowi Nicolsonowi (1673—1766) ze Szkocji urodził się syn, gdy tatuś miał już 93 lata. Najstarsza córka Nicolsona liczyła wówczas 66 lat.

* * *

Żaden przestępca nie mógł być aresztowany, dopóki znajdował się w cieniu świątyni Nathdwara w Indiach.

* * *

Sól i złoto miały jednakową cenę — w Oregonie. Było to w roku 1852.

* * *

Sir Richard Maitland (1496—1586) szkocki poeta i prawnik, jak również znakomity krytyk ówczesnej mody kobiecej był... całkowicie ślepy.

* * *

Największym zdrajcą wśród psów był chart króla Anglii Ryszarda III. W dniu, w którym ścięto jego pana, pies „Mathe" pobiegł do rywala Ryszarda — Earla Lancaster i polizał mu rękę.

* * *

C. A. Boisvert z Minnesoty używał do polowań nie psa, lecz kota. Zwierzę to szczególnie wyspecjalizowało się w aportowaniu kuropatw.

* * *

Pułkownik Henryk Mellish z Blyth Hall (Anglia) przegrał w jednym rozdaniu kart (w 1803 r.) 485.000 dolarów, a w jednym rzucie kości — 200.000 dolarów.

* * *

Głos Irlandczyka, Murtagh Magennisa, był tak donośny, że słyszano go na drugim brzegu jeziora, w odległości 3 mil, choć Magennis mówił „normalnie".

* * *

Sir John Briggs włożył w usta swego zmarłego teścia żywą muchę, po czym ręką zmarłego podpisał testament. Tylko dzięki temu świadkowie mogli przysiąc, że w teściu sir Johna Briggsa „było jeszcze życie, gdy składał swój podpis".

* * *

103 studentów zmieściło się w jednym „Volkswagenie" i przejechało nim 4.5 metra w londyńskim studio telewizyjnym, gdzie eksperyment ten został przeprowadzony.

Z samochodu wyjęto przedtem siedzenia i okna. Studenci ułożyli się w nim tak, że nogi i ręce zwisały im z otworów okiennych. Inni usadowili się na dachu, masce i zderzakach.

* * *

Służba w egipskim wojsku (połowa XIX wieku) była tak ciężka, że wielu rekrutów, aby jej uniknąć — wybijało sobie jedno oko. Mohammed Ali, ówczesny władca tego kraju, wpadł na lepszy pomysł: utworzył dwa regimenty piechoty, składające się wyłącznie z jednookich. Jednostki te zachowały się przez ponad 50 lat.

* * *

Członkowie plemienia Salva w Indiach mieli zakaz poślubiania kogokolwiek, kto nie potrafił udowodnić, że rodzina jego nie jadała mięsa od 203 pokoleń, a więc w okresie plus — minus 4000 lat!

* * *

Huang Erh-Nan z Pekinu, chiński artysta, malował swe obrazy... ustami i językiem. Ust używał jako palety, języka — jako pędzla. Twierdził on, że tusz doskonale spływa po języku i że tylko w ten sposób można go odpowiednio rozprowadzić. Huang pochylał się nad stołem, na którym rozpięty był kawał jedwabiu i... komponował na nim kwiaty lotosu, barwne motyle itp.

* * *

Pierwszą kobietą, która użyła jednostronnego siodła była Anna Czeska (1366—1394), córka cesarza Karola IV. Wskutek kalectwa (miała ona jedną nogę krótszą) nie była w stanie dosiąść konia. Znalazła i na to radę. Wprowadziła siodło jednostronne. Innowację tę skrzętnie zaakceptowano.

* * *

Randolph Cannady z Virginii urodził się z „gotowym" pełnym kompletem zębów. Zmarł w wieku 101 lat — nie tracąc ani jednego zęba z tych, z którymi przyszedł na świat.

* * *

Ali Riza, kapłan z Ankary upiekł najdłuższy, najszerszy i najcięższy chleb świata. Miał on 3,40 m długości 60 cm szerokości i ważył 90 kg.

Poprzedni rekord należał do piekarza belgijskiego który upiekł bochenek chleba o wadze blisko 55 kg.

HENRYK CISKI

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44 i 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł., kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 1576. W-11.